Nr. 1. Kraków, w styczniu 1905 r. Rok VI.



Pismo dla kobiet
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie	1 kor.	zagranicą . . .	1 marka
półrocznie . . .	50 hal.	pojedynczy numer	10 gr

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.

Co nam przynosisz?

Co nam przynosisz ty roku nowy?
pytają ze wszech stron. —
Czy będziesz gorszym, jak był miniony,
czy też hojniejszym jeszcze niż on? —
Gospodarz myśli, patrząc na łany,
kędy jesienią pszeniczkę siał,
czy w nowym roku Jezus kochany
da chleba tyle, co w zeszłym dał? —
A dziewczę pyta, patrząc w świat z chaty,
jakimże dla mnie będzie rok ten?
czy Jasiek przyśle do ojców swaty?
czyli się spełni mój złoty sen?....
Nawet i dziaduś, gołąbek biały,
co u płonących w kominie drew
rozgrzewa kości przez dzionek cały
i w starych żyłach krzepnącą krew —
i on się pyta, roczku mój nowy,
co też przynosisz mi?
będziesz-li może rokiem ostatnim
w długim szeregu mych dni?....
Radbym ja jeszcze patrzeć na pola,
kiedy się stroją w bogaty kłos
i radbym jeszcze słuchać słowika,
kiedy się w maju rozśpiewa w głos....
i radbym jeszcze patrzeć na wnuki
i słuchać dzwonów z kościelnych wież,
lecz niech się dzieje, nie jako ja chcę,
lecz jako Ty, o Panie, chcesz.

Przeworsk. *Janina Różańska.*

NOWY ROK.

(Legenda).

Niebotyczne góry, obsypane drobnemi perełkami szronu, śniły się osrebrzone jasnymi promieniami księżyca.

Wązką, karkołomną ścieżką, przez dzikie kozy wydeptaną, śmiałą, bosą nóżką, schodziło z wyżyn maleńkie pachole.

Nad urwistą, bezdenną prawie przepaścią, spotkało na swej ścieżce starca, który powolnym krokiem, podpierając się na grubym kiju, postępował do góry. Pochylony wiekiem sta-

rzec, odziany był w ciepły korzuch, a długa siwa broda spadała mu na piersi. Spotkawszy się z maleńkiem chłopięciem, stanął, bo na wązkiej ścieżce rozminąć się nie można było i jeden z nich musiał zsunąć się w przepaść, bo ściana skały była prostopadła i śliska, tak, iż na niej utrzymać się nie można było.

— Precz mi z drogi — zawołał ostrym głosem starzec, — zawadzasz mi, a spieszyć się muszę.

— Gdzież ci ustąpię — odpowiedziało pacholę — widzisz przecie, że to jest niemożliwe, ale któż ty jesteś, że tak szorstko odzywasz się do mnie?

— Jestem stary rok. Idę zdać panu rachunek z mej działalności i odpocząć po przebytych trudach.

— Ach! to ty jesteś tym niegodziwcem? ty tyle nieszczęść na świat zesłałeś? O! pamiętne będzie twoje panowanie. Patrz tam na niziny, całe szeregi klęsk, jak złorzeczące ci widma, ciągną się za tobą. Widzisz tam tysiące głodnych, wynędzniałych ludzi, którym wypaliłeś skwarnymi promieniami słońca wszystko zboże, a nawet trawę dla bydła; wyciągają wychudłe ramiona, wzywając pomsty Bożej dla ciebie. Spojrz tam na północ, widzisz, ile tam matek, żon i dzieci okrytych kirem żałoby, wylewają łzy rozpaczy za swymi synami, mężami i ojcami, którzy ginąć muszą przez chciwość nienasyconego ciemięzcy. Odwróć się na wschód, czy widzisz, jaka tam struga niewinnej krwi płynie, patrz tam, jak dziesiątki tysięcy świeżych mogił się wznosi, a tysiące ciał ludzkich niepogrzebanych leży Ty pierwszy wprowadziłeś nowe piekielne wynalazki, dla prędszego wytępienia ludzi. Tyle nieszczęść razem, żaden z twych poprzedników na świat nie sprowadził. Panowanie twoje, na kartach księgi świata, krwawemi głoskami zapisane będzie

— Któż ty jesteś malcze? iż z taką śmiałością czynisz mi wyrzuty? — zawołał oburzony starzec.

— Jestem twym następcą, „Nowy Rok“ się zowię — odpowiedziało pacholę.

— Cóż ty dobrego niesiesz światu? że tak wyszydzasz moje panowanie? — zapytał rok stary.

— Ja — odpowiedziało pacholę — niosę ludziom Wiarę, gdy wszyscy uwierzą w własne swe siły, zdobywać będą naukę i wiedzę, by się zrównać z innymi, bo tylko w ten sposób staną się siłą odporną dla tych, którzy ich dziś grzebią. Niosę im Nadzieję, że po dniach smutku i niedoli, nastąpią dni radości i wesela. Niosę im Miłość chrześciańską, którą złączę wszystkie bratnie narody, by wspólnie dla własnego dobra pracowały.

Upokorzony starzec pochylił się przed swym małym następcą i zapytał:

— Więc chcesz mnie wtrącić w przepaść, by nieść ludziom te piękne obietnice?

— Nie chcę twej zguby — odpowiedział Nowy Rok. — Połóż się na ścieżce, a ja przejdę po twym grzbiecie.

Starzec położył się na pochyłej ścieżce, a młody Nowy Rok lekko nóżką przeszedł po grzbiecie jego, niosąc ludziom Wiarę, Nadzieję i Miłość. *W. C.*

1905.

Wchodząc w Wasze progi na tym Roku Nowym,
Niesiem pozdrowienie najprzód Boskiem słowem:
Niechaj będzie Jezus Chrystus pochwalony!
Z przeczystej Dziewicy, w stajence zrodzony.

Oby Wam maleńki Pan Jezus z powicia,
Wszystkim błogosławił w ten Nowy Rok życia!
O Bracia i Siostry rodacy kochani,
Coście i w Ojczyźnie i w świecie rozwiani.

Wam, co ojczystego nie brak jeszcze słonka,
Ojczystego nieba, ze śpiewem skowronka,
Co ojczysty zagon orzecie, siejecie,
Poszczęść i błogosław Jezu, Boże Dziecię!

I Wam też rodacy, którzy w przyszłej wiośnie
W świat za pracą i chlebem pójdziecie żałośnie...
Do swych własnych wrogów... albo i za morze,
Poszczęść, pobłogosław, Jezu, Dziecię Boże!

Szczęść, błogosław Jezu naszym polskim Matkom,
Ich pracy domowej, ich kochanym dziatkom,
Aby ich kochane i córki i syny,
Wzrastały na chlubę dla polskiej krainy...

Jontek z Bugaja.

*

* *

Urodził się niby ten kwiatek w piwnicy wątły i słaby, wychował się na twardej, na sierocej doli, co dziecka pieścić nie umie, a łzami je i piołunem hoduje. Śpiewały mu kołysanki pola zbożne, śpiewały skowronki i cały chór ptaszy, grały mu kapele żab i komarów, a wiatr organista po klawiszach liściastych organów „Święty Boże“ huczał. I wyrósł z niego grajek-samouk, zasłuchany w szelesty i szmery, zapatrzony w blaski gwiazdy i dobry był i ludziom miły, niby te śpiewne modlitwy słowicze, co się jak rosa majowa nocą rozperlają — śliczne.

Aż mu i do serca zajrzała pieśń — zajrzało kochanie. I rozśpiewała się w nim dusza i serce, zaśpiewały myśli i dumki, jak skrzypki anielskie, jeno że nie ludzka ręka grała na tych skrzypkach serdecznych, tylko błękitne jak niebo oczy Hani.

Hej! jak się ten Franek z Hanką kochali, jak się kochali — bez miary! Ni raz bywało, księżyc im w oczy zagląda, a śmieje się stary pasterz gwiazdek, bo w oczach Hanki niby raj, a w oczach Franka niebo, a między nimi śpiewanie skrzypki — serdeczne, długie tęsknoty i kochania pełne. Śmiał się staruch niebieski i mruczał:

— Daj wam Boże!... ale, to nic nowego, dosyć się ja już na to napatrzył! Aż go i gwiazdy, że to kobiety zawsze miększego serca, łajać za owo gadanie poczęły, ale łysy zbereźnik śmiał się ciągle i mówił: „patrzmy końca“.

Nie darmo miesiączek stary, więc mądry — oj nie darmo!

Jak zaczęli ludzie raić, jak zaczęli odmawiać, tak i przewrócili w głowie Frankowi. Zalubiła się w nim wdowa jedna, bogaczka i nie stara jeszcze, tak i zaczęła nasyłać ludzi z radami, z obietnicami, a choć się grajek sierota opierał, toć ta ludzka siejba słów padała mu w duszę i zostawała w niej, toż i kiełkować zaczęła i dla bogactwa, dla chaty bielonej, dla dobytku i chudoby, zapomniał powoli o zapłakanych oczętach Hanki, bo mu dyabeł przysłonił ich niebo, więc jeno ziemię widział i jej uciech pragnął.

Szedł nocą, szedł cichą a mroźną, by na rano w chacie wdowy stanąć, wódki flaszę na stole postawić i zrękowiny obyczajne zrobić.

Szedł nocą, szedł cichą a mroźną, i w sercu ni żalu, ni smutku nie czuł za Hanusią, jeno tam gdzieś głęboko, na samem dnie duszy, coś maleńkiego drgało, jakby łkaniem serdecznem szarpane.

Szedł nocą, szedł cichą a mroźną, Sylwestrową nocą, w której się zawsze nowy syn Czasu odwiecznego rodzi i idzie z uśmiechem do ludzi — Rok Nowy.

Cicho było i sennie na polach. Śnieg jakoś nie padał wielki, więc co go było, to stopniało, i nawet po bruzdach nic go się nie przyczaiło. Pola były czarne i głuche, ot zwyczajnie jak w zimie, gdy się strudzona matka ziemia na sen i na wypoczynek położy. Ponuro więc było i jakby groźnie w naturze, jeno na górze perły gwiazd błyszczały, nito ziarnka różańca, na którym się nocka-piastunka Panu Bogu modli.

Nie raźno się jakoś szło Frankowi na one zrękowiny, skrzypkę, co ją niósł pod pachą w chustkę zawiniętą, raz wraz poprawiał, a co ją poprawił, to w skrzypce jękło coś zawsze, westchnęło, jakby w niej dusza śpiewana cierpiała.

On szedł i dumał.

— Nowy rok — myślał — idzie, jaki on będzie, gorszy-li, czy lepszy? Ot! żeby to człek wiedział, czem sobie na dobry zarobić, ot żeby to wiedział, jak zrobić, by nieszczęście od siebie odwrócić? Aleć pono ni post, ni modlitwa, ni nawet spowiedź święta człeka nie uchroni i nie masz chyba mędrka na świecie, coby jakową radę znał.

A gdy tak dumał, zaszumiały wierzby przydrożne i szepnęły: „północ“.

A gdy przechodził koło krzaku tarniny, ta szepnęła: „idzie“.

A gdy popatrzył po pustych, głuchych polach, zapachła mu ziemia i szepnęła: „Nowy rok“.

Franek stanął. Szły na niego teraz zewsząd szepty jakieś, jakieś szumy, jakby się ziemia modliła, jakby drzewa śpiewały: „Zdrowaś Marya“.

Od wschodu niebo było jeszcze czarne, ale od tej czarności coś szło, wielkie, tajemnicze, niezbadane. Szedł Nowy rok

— Jaki ty będziesz? — krzyknął głośno Franek, ręce ze skrzypkami ku niemu wyciągając, a w skrzypce struny drgnęły, jakby na

nich ten tajemniczy duch roku usta położył i Franek usłyszał wyraźną odpowiedź:

— Dla dobrych dobry, a dla złych nieubłagany!

Franka lęk zdjął, bo takim głosem nigdy nie mówiły skrzypki, ale pytał dalej:

— A dla mnie jaki będziesz?

— Idę ja do ciebie, i coć przeznaczone, nie minie cię — huczało w skrzypicy — ale z czem ty idziesz do mnie? Ja minę i przyjdą po mnie szeregi innych, a w nich będzie żniwo mojego posiewu. Więc jeśli idziesz z chciwością, za chciwość cię lata ukarzą, jeśli ze zdradą, to zdradę odpokutujesz, jeśli ze łzami ludzkiemi, to sam płakać będziesz, jeżeli z krzywdą serdeczną, serce ci krzywda rozpruje. Pamiętaj! ale gdy z dobrą wolą idziesz, tedy nie narzekaj, gdy cię ból przytłoczy, bo co we mnie posiejesz łzami, to ci inni uśmiechem oddadzą. Pamiętaj!

Otwarła Hanka łzami umęczone oczy, a tam za oknem gra coś, jakby anieli niebiescy. Frankoważ to skrzypeczka? czy nie ona? toć i tamta śpiewała jak zaczarowana, ale nie tak do serca prosto, nie tak żałośnie ni tęsknie.

Ale to Franek grał, on sam, jeno że to coś maleńkiego, co mu na samem dnie duszy trzęsło się łkaniem serdecznem szarpane, wzmogło się, zolbrzymiało, napełniło go żalem, kochaniem, tęsknotą bezmierną i błaganiem mu nastroiło skrzypki, błaganiem o przebaczenie, o umiłowanie serdeczne.

Dzień noworoczny nadciągnął, a oni rzucili weń siew dobrej, siew krwawej pracy dla siebie i drugich i poszli razem w życie ufni, że uśmiechy zbierać kiedyś będą. Bo kto cierpi, kto ucisk i niewolę czuje, niechaj w zagony lat rzuca ziarno pracy i dobrej, silnej woli, a wnuki jego w swobodzie żąć będą chlebne kłosy swobody i szczęścia.

Olesko, d. 18 grudnia 1904. *St.*

O czem to bydlęta rozmawiały między sobą w jedną noc Bożego Narodzenia.

Z legend ludowych

podał

Jan Świętek.

Z dawien dawna opowiadają ludzie, że w nocy Bożego Narodzenia dzieją się różne cuda na świecie. I tak w chwili, kiedy Pan Jezus przychodzi na ten padoł płaczu, przemienia się woda w wino we wszystkich studniach, rzekach, stawach i sadzawkach; ktoby też w ową godzinę naczerpał wody, użyłby sobie na wineczku, jak nigdy, ale nie słychać, aby jaki człowiek dostąpił tego szczęścia nawet w dawnych czasach. Był wszelako człowiek za starych czasów, co o północy z Wilii na Boże Narodzenie podsłuchał rozmowę bydląt, a jak to było, opowiem:

Pewien gospodarz nie wierzył, że wszystkie zwierzęta, jakie tylko są na świecie, w nocy Bożego Narodzenia rozmawiają między sobą mową człowieczą i że nawet wtedy kot z myszą po ludzku sobie pogwarzy. Darmo sąsiedzi wyrzucali mu niedowiarstwo i tłomaczyli, że to Pan Jezus daje taką moc zwierzętom; on jak nie wierzył, tak nie wierzył, aż nareszcie postanowił przekonać się o tem dowodnie. Niepostrzeżenie, zaraz po wieczerzy wilijnej pobiegł do stajni, w której stały woły i krowy i położył się pod żłobem. Leżał spokojnie i cicho, by nie zauważyły go gospodyni i dziewka, co przyszły do stajni z wilią dla bydląt; a wiecie przecie, że sporo trzeba na to czasu, zanim bydlęta zjedzą taką wilię, t. j. otręby z resztkami wieczerzy i opłatkami z rutą, a potem, zanim się każde z osobna ugłaska i każdemu się powie, żeby się dobrze chowało. Uszła może godzina, jak dziewka i gospodyni wróciły do izby, a gospodarza, jak nie było w domu, tak niema. Z początku gospodyni myślała, że jest przy wiązaniu drzewiny, bo z całej wsi dochodziły jeszcze wołania: „Będzie rodziła, nie ucinaj!“ „Nie będzie rodziła, utnij ją!“; pytała też powracających od tego wiązania parobka, woźnicę i pasterza, czy gdzie gospodarza nie widzieli. Ale żaden nie widział; domyślali się tylko, że „gospodarz może są u sąsiada i obaj razem wybierają się na pasterską“. Tak gospodyni nie trapiła się o nieobecnego gospodarza.

A gospodarz leżał sobie spokojnie w stajni pod żłobem i nasłuchiwał ciekawie, kiedy bydlęta zaczną mówić, ale długo nie słyszał tej mowy, jeno chrupanie, aż dopiero nadeszła ta szczęśliwa godzina. Wtedy powstały na nogi wszystkie woły i krowy, bo przedtem leżały, a najstarszy wół zaczął mówić: „Witam was moje wołki i krowisie, imieniem Bożego Dzieciątka, które w tej chwili się narodziło; z Jego natchnienia, jako najstarszy między wami, wiem też, co Pan Jezus dla każdego znajomego nam człowieka na ten rok przeznaczył. Ten rok nie będzie zły, ani dobry, będzie sobie taki śred-

niaczek, urodzaju nie będzie wielkiego, ale się nie trapcie, bo paszy dla nas ludziom nie zabraknie"...

Wół mówiłby jeszcze dalej jednym ciągiem, ale ciekawa Winocha, stojąca w kącie, przerwała mu pytaniem: „Mój wołku, powiedzże nam prędzej, co Pan Jezus przeznaczył dziewce Marysi; ona zawsze dla nas była taka dobra i dbała, że życzę jej co najlepszego". — Wół chrupnął i odrzekł: „Dobrych ludzi zawsze Pan Jezus ma w Swojej opiece. Marysia była dobra nie tylko dla bydląt, ale także we wszystkich swoich uczynkach i dlatego wyjdzie ona w tym roku zamąż bardzo porządnie. Znacie przecie Bartka Mikołajaka, tego, co zawsze ubiera się po chłopsku, po polsku, jak to Pan Bóg polskiemu chłopu przykazał, co za nic w świecie nie przebrałby się w taką tandetę, jaka weszła w modę. Za tego Mikołajaka wyjdzie Marysia jako dobra Polka, bo Mikołajak — to prawdziwy polski chłop, co myśli o szczęściu Polski, co nie tylko słowem, ale i czynem udowadnia, że najwięksi wrogowie nie zmogą Polaków i Polska będzie stała po wszystkie wieki wieków i potężna, jeżeli nasi ludzie będą twardo stali przy swoich pięknych zwyczajach, jeżeli będą garnęli się do oświaty, a pracowali pilnie i coraz lepiej na roli i w różnem rzemiośle. Biedny to młodzieniec ten Mikołajak, a przecie z tkactwa, którem daleko słynie, zarabia tyle, że i żyje porządnie i stać go na różne pouczające książki i gazetki, na które większość kmieci żałuje grosza. Marysia nada się do Bartka; oboje wychowają też dzieci na bardzo uczciwych ludzi i Polaków".

— „Niech Pan Bóg da zdrowie i szczęście Marysi — odezwała się teraz Krasula, stojąca przy Winosze. — Zasłużyła sobie na dobry los, nie tak, jak ten Wojtek, pasterz, co nas krowy wciąż bije, chociaż nie ma o co, jeździ na nas, wiąże nam maglownice i tłuczki do karków".

— „Wojtek, jest zły chłopak — rzekł wół wzburzony. — Jeżeli ten Wojtek nie poprawi się jeszcze, to w jesieni obsypią go brzydkie bolaczyska, że nawet ruszać się nie będzie mógł".

Brzezula była ciekawa, co będzie z gospodynią, która nie była dobra dla ulubionej przez krowy Marysi. — Wół mruknął: „Czy to już nie dosyć, że straci dziewkę, jakiej szukać daleko".

Cieliczka od Brzezuli miała znowu zawziątkę na gospodynię za pobicie jej o stłamszenie grochu; pytała też wołu, jaką karę Pan Jezus wyznaczył za to gospodyni. — Ale wół popatrzył brzydko na jałowicę i zaczął swarzyć: „Smarkulo paskudna, ty taka, ty owaka, nie rób szkody, a nie będziesz bita. Patrzcie ją! Nie chce się jej skubać trawy, gdzie należy, lekkim sposobem chciałaby żyć i myśli, że Pan Jezus będzie karał ludzi za napędzanie próżniaków do roboty. Fe! wstydź się, cielucho!"

Potem Cisula już nieśmiało pytała wołu, czy Pan Jezus ukarze parobka, który zbił ją niemiłosiernie. Wół odparł: „Było się nie bóść z krową sąsiada, a nie straciłabyś rogu, nie zostałabyś „pałą" i nie wzięłabyś bicia; przez ten jeden róg utracony straciłby gospodarz na tobie kilkanaście reńskich, gdyby cię na jarmark wyprowadził. Ale bicie bez upamiętania bydląt nie ujdzie parobkowi bezkarnie; na wiosnę będzie go za to tłukła sześć razy zimnica".

Dobry pacierz jeszcze rozmawiały między sobą bydlęta o różnych rzeczach, wreszcie stary wół tak się odezwał: „Niemcy, jak wiecie, strasznie się zawzięli na Polaków i chcą ich koniecznie zgładzić ze świata. Ale niedoczekanie ich, bo Pan Jezus tak postanowił, że niemczyska i inni nieprzyjaciele zębce sobie wyłamią, a nic Polakom nie zrobią, jeżeli Polacy wszyscy wezmą się w kupkę i trzymać się razem będą, szanując swoją mowę, swoją ziemię, swój kraj, swój obyczaj i wszystko, co dla nich jest święte. Życzę Polakom tej jedności, tej spójni i tej wspólnej obrony ojczystych interesów, bo ja także polski wół i niechnoby przyszło do czego, to nastawię rogi i będę bódł razem z wami, oj będę bódł, gdzie mi się jeno jakie prusaczysko, niemczysko lub moskalisko nawinie — a to tak po naszemu, po polsku, jak to jeszcze za króla Chrobrego albo Jagiełły bywało..."

— „Oj tak, tak!" — potwierdziły inne trzy woły, stojące koło starego.

Przy końcu tej szczęśliwej godziny zapytał jeden z wołów: „A co my też jutro będziemy robiły?" — Hm — odchrząknął stary wół i spojrzał pod żłób. — Jutro powieziemy naszego gospodarza na cmentarz, bo nie wolno mu było podsłuchiwać naszej rozmowy, a on, niedowiarek, odważył się na to".

Gospodarz, słysząc ten wyrok, wyskoczył z pod żłobu i na klęczkach prosił wołu o darowanie mu życia. Ale wół położył się spokojnie na posłaniu i nie odrzekł ani słowa.

Na krzyk gospodarza przybiegli domownicy do stajni; gospodarz przyniesiony do izby wyzionął ducha, mając zaledwie chwilę czasu, aby opowiedzieć, o czem bydlęta między sobą rozmawiały.

Na pamiątkę rocznicy powstania

w roku 1863, którą — dlatego, iż rozpoczęła się w styczniu, nazywamy styczniowem — zamieszczamy piękny wiersz i powieść p. A. Bandrowskiej. Historyę tegoż opiszemy w następnym numerze. W grudniowym zaś numerze *Przodownicy* były zamieszczone portrety naczelnych dowódzców rewolucyi 1831 roku, która miała nietylko wielkie narodowe znaczenie, ale była ważnym wypadkiem w dziejach ludów europejskich.

„Z pożółkłych kartek".

A. Bandrowska.

TRZY CHWILE.

Tam na błoniu — w dali — nad jeziorem,
Drży powietrze od poświstu kul,
Tu — w tej wiosce — w chatce pod jaworem,
Serce matki srogi szarpie ból...

Przed obrazem — kornie swe kolana,
W ciężkim smutku biedna matka gnie,
I ku Matce Bożej zapłakana,
W górę wznosi drżące dłonie swe:

„Bolejących matek Ty Królowo!
„Racz wysłuchać szczerej prośby mej,
„Zlituj się nademną biedną wdową,
„Na me dziecię łaskę Twoją zlej".

„On zostawił mię osieroconą,
„Spiesząc, gdzie gorąca walka wre,
„Gdzie krew strugą leje się czerwoną,
„Za Ojczyznę poniósł życie swe".

„Matko Boża! wejrz na krwawe znoje,
„Męstwem — siłą, wzmocnij słabą dłoń,
„Osłoń złotym rąbkiem szaty Twojej
„Od pocisków syna mego skroń".

* * *

Przeszedł zbrojno hufiec jeden, drugi...
Ona czeka u swej chaty bram,
Przeczytała okiem szereg długi,
Lecz napróżno, jego niema tam...

Gdy żołnierze na zielonej łące,
Spoczywając, ustawili broń,
Ona ku nim kroki swe chwiejące,
Skierowała, by zapytać oń...

Dzielny syn twój — rzecze setnik matce,
Już nie wróci na ojczysty próg,
Więcej go nie ujrzysz w twojej chatce,
Do niewoli wziął go srogi wróg.

* * *

Na gościńcu — kręcąc się z wichrami,
Tuman kurzu, dziki wiedzie tan,
W chatce smutno — tam gorzkiemi łzami
Rosi wdowa zakąt pustych ścian...

„Synu! woła, duszo mojej duszy!
Nigdyż już nigdy nie ujrzę cię?
Zali więzów twoich nikt nie skruszy?
Nikt w mym smutku nie pocieszy mię?"

Tu — na ręku, nieraz cię nosiłam,
Tu — nad sennym czuwał matki wzrok,
Tu — pierwszego słowa cię uczyłam,
Pierwszy twój chwiejny stawiałam krok.

Serce się z rozkoszy rozpływało...
Gdy wzrastałeś, jak wśród wiosny kwiat,
Z chlubą na cię oko me patrzało
Do młodzieńczych gdy doszedłeś lat...

Kędy spojrzę — kędy kroku ruszę,
Wszystko mi wspomina obraz twój,
Dziecię moje! Duszo mojej duszy!
Wróć! Ach wróć najdroższy synu mój!

„Z pożółkłych kartek".

Przepisała A. Bandrowska.

Mrok zapadł — kiedy niekiedy słychać było — pojedyncze wystrzały,... to Moskale i Polacy, błądzą po lesie — spotykają się — rozpoznają zblizka, spiesznie broń wznoszą —

błyśnie, huknie — jeden z nich o ziem runie, a drugi kroczy dalej w ciemności, wytężonem okiem szukając towarzyszy.

Major uderzył w trąbkę; na znany jej odgłos nadbiegło jeszcze kilkunastu zbłąkanych powstańców,.. strzały ucichły. Wiarusy szli pomału, bo wielu między nimi było rannych. Niebo okryły czarne chmury; ani jedna gwiazda nie świeciła biednym rozbitkom, którzy, oddaliwszy się na pół mili od pobojowiska, stanęli w lesie nad bagnem.

— Piękną odbyliśmy przeprawkę — ozwał się dowódzca, siadając na murawie i zapalonym papierosem oświecając zegarek. — Południe mijało, gdy nas zaatakowali, a oto już dochodzi godzina dziesiąta....

— Cóż teraz poczniemy z sobą?

— Schronimy się do Galicyi — odparł dowódzca z westchnieniem. — Przerzedzeni tak, jak jesteśmy, nie możemy więcej myśleć o staczaniu bitew, zwłaszcza mając rannych tylu. Ja najmniejszej władzy nie czuję w prawej ręce, krwi utraciłem nie mało....

— Doktorze, zawiąż rękę majora...

— Chętnie, ale trzebaby światła — odpowiedział lekarz.

— Ja mam w torbie latarkę — dodał kapelan.

— Z latarką ostrożnie — przestrzegał major — aby jej światło nas nie zdradziło... Moskale mogą być blizko.

— Na to środek łatwy — odrzekł kapelan, rozświecając latarkę pod połą habitu — koledzy, obstąpić majora!... Tak.... nawet o dziesięć kroków za nami nikt nie zobaczy blasku.

Lekarz zbliżył się, mówiąc:

— Zdejm czamarę, dowódzco!

— Pierwej — rzekł major, wskazując na młodego żołnierza, który siedział wsparty o drzewo — pierwej racz się zająć tym oto dzielnym towarzyszem, kochany doktorze.... on bardziej odemnie potrzebuje twej pomocy.

Lekarz ukląkł obok młodego wiarusa, przezwanego w wojsku „mleczakiem", z powodu, że się raz był zakrztusił, pociągnąwszy z manierki żołnierskiej, która obiegała koleją. Kapelan oświecił latarką twarz jego śmiertelnie zbladłą

— O, dziękuję panom — przemówił mleczak słabym głosem — Niema już dla mnie ratunku.... ja muszę umrzeć.... czuję to....

— Dzieciak z ciebie! — odparł lekarz, chcąc rozpiąć mu skrwawioną guńkę. — Rannym i chorym częstokroć wydaje się, że umierać muszą... pokaż, gdzie jesteś trafiony?

— W samą pierś.... dwie kule.... pomoc daremna....

— Tego ty nie możesz wiedzieć! No, prędzej.... precz z ręką!

Mleczak nie usłuchał; skrzyżował na piersi drżące dłonie, twarz odwrócił od światła latarki.

— Dlaczegóż nie dajesz ran opatrzyć?— zapytał major.

— Bo czuję, że to byłoby napróżno...

— A ja mam nadzieję, że się mylisz... zresztą doktor obaczy.

— Nie, nie — jęknął chłopak.

— Jak to nie? co to jest za dziwactwo? Nie bałeś się skoczyć i nadstawić piersi na przeznaczone dla mnie kule.... czyżbyś się teraz lękał opatrunku?

Mleczak twarz tulił do drzewa i milczał.

— Tracimy czas daremnie — mruknął lekarz.

— Kolego — rzekł surowo dowódzca — pokaż ranę.... ja ci rozkazuję!

— Proszę cię majorze — wyszeptał ranny — dozwól mi umrzeć spokojnie... Zostawcie mię tu w lesie!

— Co? ja miałbym opuszczać ciebie, który powtórny już raz uratowałeś mi życie? Nigdy!

To rzekłszy, przykląkł, ujął opierającego się za rękę, kapelan wziął go za drugą i odciągnął od piersi. Mleczak opierał się, szarpnął rękę, krew z ran wytrysnęła na nowo.

— Co czynisz? — ozwał się lekarz. — Unikaj wszelkich gwałtownych ruchów, jeśli nie chcesz popełnić samobójstwa.

I rozpiął mu guńkę i rozdarł koszulę....

Major, kapelan i lekarz wydali cichy okrzyk zdziwienia i grozy. Przed ich oczyma odkryta, krwią zbroczona, błysnęła śnieżna pierś dziewczęcia.

Jak wryci stanęli.... Żołnierz nie bronił się dłużej, tajemnica jego była zdradzoną. Głębokie wzruszenie malowało się na twarzach powstańców.... po niejednem wąsatem obliczu łzy spłynęły jędrne....

Major z uwagą wpatrzywszy oczy w rysy dziewicy, uderzył się w czoło....

— Ha! dlatego to — rzekł — owej nocy, gdy wyruszałem do obozu Langiewicza, było o jednego więcej w szeregu!... Maryjko! Wszak my nie werbowaliśmy kobiet! co skłoniło cię do tego kroku?... Opuściłaś dom bezpieczny.... Pannę Stefanię, która cię kochała jak siostrę....

— Tego ci wyznać nie mogę, majorze, chyba w godzinie śmierci, która, jak mi się zdaje, nie jest zbyt daleką...

— Boże uchowaj! ty będziesz żyć, Maryjko!... Nieprawdaż doktorze?

— Miejmy nadzieję — mruknął lekarz.— Należałoby kule wydobyć natychmiast...

— To je dobądź — odparł major — my zaczekamy.

Lekarz wyjął kilka instrumentów z futerała. Major z księdzem za ręce trzymali Maryjkę, co jednak okazało się zbytecznem — ona bowiem usunęła się bez ruchu i leżała blada z zaciśniętemi zębami, a tylko, kiedy wpierw srebrny drut sondy, a potem zimne żelazo kleszczyków wpiły się głęboko w drgające łono, wydała cichy, ledwie dosłyszalny jęk....

Jedną kulę wyjął lekarz szczęśliwie, podał dowódzcy i rzekł:

— Schowaj ją! skoro twoje ramię się zagoi i nasza amazonka wyzdrowieje, odeślemy Moskalom tę pigułkę.

Drugiej szukał i szukał....

— Nie mogę jej napotkać — dodał po chwili — Znajdziemy ją może później....

Przyłożył szarpie na rany, zawiązał. Maryjka prosiła wody. Jeden z szeregowców skoczył do bagna, napełnił manierkę, podał jej.

— Teraz kolej na ciebie, majorze — rzekł doktor.

— Mnie — odparł tenże — kuli dobywać nie potrzeba, bo sama na wskróś zrobiła sobie drogę — a gdy mu lekarz bandażował ramię, zapytał, nachylając się do jego ucha — czy rany dziewczyny nie są śmiertelne?

Głębokie westchnienie było odpowiedzią doktora.

Zbliżyło się więcej rannych; lekarz opatrywał ich kolejno. Jednemu kula utkwiła w nodze niżej kolana, a podczas dobywania jej głośno wyrzucił z ust pewne ulubione u Rosyan i często używane przekleństwo.

— Ciszej! — szepnął doktor, kładąc mu dobytą kulę na dłoni — palniesz nią kiedyś w łeb Moskala....

Wtem zaszeleściło coś w zaroślu nad bagnem.... Ksiądz ukrył latarkę pod połą habitu.

— Pst, tam się ktoś ruszył w szuwarze — rzekł major — swój, czy Moskal, nie wiadomo.... Gotowi nas jeszcze wyśledzić.... Niema czasu do stracenia.... zabierajmy naszych rannych i w drogę....

— Ale wpierw jeszcze, księże kapelanie, poświeć mi z łaski swojej latarką, niech rozpatrzę się cokolwiek na mapie i zaradzę kompasu... Z miejsca, gdzie jesteśmy, mamy do granicy cztery mile opętane, trzeba dobrze nogi naciągać, aby przed wschodem słońca stanąć w Galicyi, inaczej mogliby nas napaść Moskale lub uwięzić Austryacy... Miejscowość korzystną jest dla nas, same tylko suche lasy mamy do przebycia...

— Naprzód bracia, pójdziemy prosto w kierunku południowym.

Maryjkę wsadzono na konia, którego dowódzca sam prowadził za cugle i lasem pociągnęli najprędzej, jak tylko zdołali.

* * *

W małym domku leśniczego, który na ziemi galicyjskiej rannym powstańcom schronienia użyczył, młody dowódzca z ręką na temblaku czytał list od narzeczonej:

Najdroższy mój Stasiu! — pisała panna Stefania. — Dowiedziawszy się o miejscu Twojego pobytu, wybieramy się natychmiast wszyscy w drogę... Bóg wysłuchał prośby mojej i ocalił Cię cudem z morderczej nierównej walki, o której najsprzeczniejsze wieści wciąż tu do nas nadchodzą. Myśl, że jesteś żyw i zdrowy nie pozwala mi czasem (wyznaję ze wstydem) myśleć o innych nieszczęśliwych... rannych... w niewolę pojmanych...

Radość moją zatruwa również wypadek w domu. Oto Maryjka znikła po waszym odjeździe. Zrazu nie wiedzieliśmy, co się z nią stać mogło, bo o nieszczęśliwe zdarzenia w tym czasie gwałtów, napadów, rewizyj i pożarów nie trudno. Ale kiedy nasz Marcin porządkując mieszkanie, znalazł w pokoiku jej warkocz obcięty, a również znikł „Bułanek“ ze stajni, na którym towarzyszyła mi w wycieczkach, jakoteż powstańcza guńka Józia, domyśliliśmy się, że przebrała się po męsku. Dlaczego? i w jakim celu to uczynić mogła, nie wiemy. Wojennego usposobienia bynajmniej nie zdradzała, jak wiesz, na śmierć kurczęcia patrzeć nie mogła... Co też przyszło dziewczęciu do głowy? Tem bardziej jesteśmy zaniepokojeni jej losem. Czy nie wpadła w ręce Moskali? Co się z nią dzieje? Myślałam, że ją gdzie spotkacie po drodze i odeślecie nam z powrotem... Wiesz jak była do nas przywiązana, szczera i prawdomowna, dlatego nie mogę sobie wytłómaczyć tajemniczego jej zniknięcia... Nieraz mówiliśmy między sobą, że wdzięczność tego biednego dziecięcia ludu, które w naszym domu przytułek znalazło, wprost podziwienia godna! Pomyśl, jak to tylu wykształconych



Z KSIĄG PROROCTWA.

Na cztery wiatry niebieskie powieje gałązką oliwną. Na cztery krańce wsze ziemie.

I zgromadzą się trzody, które wy źli pasterze rozprószyli.

A On uczyni przymierze z niemi — przymierze wieczne.

I będzie mieszkał wilk z jagnięciem, a pard z koźlęciem legać będzie, cielę i lew i owca pospołu mieszkać będą, a dziecię małe pędzić je będzie.

Nie będą się pożerać wzajemnie ani szkodzić sobie, ani zabijać się, bo napełnioną będzie ziemia znajomością imienia Jego, jako obręby morza wypełnia woda.

I będzie igrało dzieciątko nad jaskinią żmijową i do jamy bazyliszkowej wpuści rękę swoją.

I korzeń wypuści różdżka pokoju i wzrośnie w drzewo cieniste i stanie na znak przymierza narodów ziemi. *A. Bandrowska.*

i dobrze urodzonych*), wywdzięczyło się nam za usługi nasze! Słusznie utrzymuje nasz ojciec, że szlachetności nie da żadna kultura**) — jeśli jej ktoś nie ma wrodzonej...

Ty Stasiu, coś był pierwszym jej opiekunem jeszcze w dzieciństwie, kiedy to pod ową znienawidzoną szkołę moskiewską jabłka na sprzedaż nosiła, znasz ją dobrze... Wspominała o Tobie zawsze, jakby o aniele jakimś złotym, który z jasnemi skrzydły zjawił się przed nią... A jak się ona uradowała, na wiadomość o zamierzonym ślubie naszym... Oby tylko pan Stanisław powrócił szczęśliwie... Oby tylko powrócił... mowiła bezustannie.

Tego sobie darować nie mogę, że nie zwróciłam baczniejszej uwagi na jej dziwne zachowanie się pod koniec. Oto dniem przed podróżą naszą, kiedym poleciła przygotować suknie na drogę, rozpłakała się gwałtownie, upadła mi do nóg i prosiła o błogosławieństwo. Wszak nie idziesz jeszcze do ślubu Maryjko — odpowiedziałam zdziwiona. Kto wie, co się przytrafić może — odrzekła — tak chciałabym mieć błogosławieństwo z rąk Twoich Pani na odjezdnem.... Maryjko! — zawołałam — prośmy wspólnie Boga, aby nas od wszelkiej grozy zachować raczył i pobłogosławił tych tam spieszących w bój — braci naszych....

Nazajutrz już jej nie było...

Młody dowódzca schował list narzeczonej i zadumał się głęboko... Dlatego tam wówczas było o jednego więcej. — Postępek Maryjki, ślicznego służebnego dziewczęcia, które raz, gdy oboje jeszcze dziećmi byli, od plag rodzicielskich ochronił, stał im się teraz jasnym. Nie miał sobie nic do wyrzucenia, nic ich nie wiązało, prócz kilku słów przyjaznych, które od czasu do czasu, bywając w domu narzeczonej, rzucił dziewczynie, przypominając wspólną, gorzką dolę dzieciństwa — on znienawidzoną, wojskową szkołę moskiewską — ona rozsprzedaż jabłek pod kontrolą ojca pijaka....

O! ileż się teraz zmieniło od tego czasu... Miasto oficera rosyjskiego, on dowódzcą powstania, a poniewierane dziecko ulicy bohaterką na polu sławy!...

Miłość, która dla siebie niczego nie żąda, a własną piersią przed kulą osłoni... Jakaż jest miłość owa?...

*) Dobrze urodzonymi nazywano szlachtę herbową.

**) Oświata i wychowanie moralne.

Cichy jęk za ścianą przerwał wątek zadumy. Stanisław powstał z miejsca i przeszedł na przeciwległą stronę domu.

* * *

Przez gałązki młodym umajone liściem, zorza krwawym blaskiem zaświeciła w okna leśniczówki... Maryjka obudziła się — podniosła głowę... Wzrokiem powodząc dokoła, szukała Stanisława — chociaż stał obok.

— Dowódzco!... — szepnęła z natężeniem,

— Tu jestem Maryjko — rzekł Stanisław. przyciskając do ust jej rękę. — Powiedz, czy bardzo cierpisz?

— Szczęśliwą się czuję. — O jak bardzo szczęśliwą... uratowałam najdroższe dla mnie życie na ziemi... Niech cię nie obraża szczerość umierającej... Pannę Stefanię, panią moją, kochałam czule — lecz wówczas panie Stanisławie, kiedym cię ujrzała zdzierającego i depcącego szlify oficera rosyjskiego — a potem, jak cię młodzież ozdobionego szarfą podniosła w górę z okrzykiem uniesienia — ta młodzież, którąś miał powieść tam... w bój krwawy!... sama nie wiem, co się ze mną stało... Czułam tylko, że cię nie puszczę tam samego!.. że każda chwila byłaby tu dla mnie męką okrutną, gorszą od śmierci — że muszę cię widzieć — czuwać nad tobą... ochraniać... życie dać za ciebie...

O daruj!... Miłość moja była czystą... Cieszyłam się szczerze ze związku waszego... Ty i panna Stefania — dwoje ludzi, u których serc szlachetnych zażyłam najsłodszych uczuć na ziemi... ja, biedna dziewczynka z ulicy... nie znająca niczego, prócz przekleństw ojcowskich...

— Uspokój się, biedne, szlachetne dziecię. Wiem wszystko... nie mów więcej. Gdy będziesz zdrową, opowiesz mi wszystko.

— Nie mówiłabym tego... gdybym wiedziała, że wyzdrowieję... z wysiłkiem uśmiechnęła się Maryjka. Poczem lekko usypiać zaczęła.

Wszedł lekarz, który przed kilku dniami znowu robił próbę wydobycia kuli i uznał stan Maryjki za beznadziejny...

Gorączka opanowywała chorą. Mówiła, bredziła przez sen — zrywała się z okrzykiem: W głowę mierzy!... W piersi mierzy!... szamotała się, zasłaniając sobą Stanisława.

Tak przeszła noc... Nad ranem uspokoiła się... Przytomnym wzrokiem wpatrzyła się w Stanisława, ale już mówić nie mogła...

. . . .

W stygnące ręce Maryjki, włożono gromnicę... W izbie zapanowała uroczysta cisza, tylko wróble świergotały wesoło za oknem. Kapelan począł odmawiać głośno modlitwę za konających...

. . . .

Na gościńcu zaturkotał powóz — Stanisław porwał się z klęczek i biegł przeciw, ale już w progu spotkał matkę swoją, narzeczoną, ojca jej i brata.

— Dzięki niech będą Bogu Najwyższemu, że cię żywego mogę przycisnąć do serca — łkała matka, tuląc w objęciach syna.

— Stasiu! Mój najdroższy! Mój bohaterze! wołała narzeczona.

— Tam! — odrzekł młodzieniec, wiodąc ich do pokoju i wskazując na zwłoki Maryjki — leży ta, której zawdzięczam życie...

* * *

W dwa dni tłumno było około starej leśniczówki. Obywatelstwo, młodzież, lud, wszystko się cisnęło na progi małego domostwa, aby ujrzeć zwłoki powstańca-dziewczyny, która poświęceniem swem uratowała życie dzielnego wodza.

W trumience, niebieskim aksamitem i srebrną lamą obitej, na koronkowych, śnieżnych poduszkach, spoczywała Maryjka z chłopięcą, krótko ostrzyżoną czupryną nad marmurowobiałem czołem. Uśmiech przykwitł do jej ust... Zdawało się, że duszyczka dziewczęcia błądzi po jakichś cudnych, niezmierzonych ogrodach rajskich i rzuca odblask owych jasności na wypogodzoną twarzyczkę. Mirt oplatał girlandą ucięte włosy, a na atłasowej długiej sukni spływającej z trumny aż do ziemi, położyli koledzy-wiarusy czapeczkę rogatą i szablę żołnierską.

Przez otwarte na ścieżaj okna zalatywał zapach świerków leśnych — cisnęły się gałęzie drzew ogrodowych i sypały białe, drobne płatki na rozesłane całuny... Pszczoły wlatywały z brzękiem i jasne łąkowe motyle, zwabione mnóstwem nieznanego kwiecia, którem zasypano zmarłą...

Były tam i tuje i centofolie, z pańskich ogrodów i cieplarni, rozkosznej woni kwiat pomarańczowy i wiejskie nogietki, rumianki i ruta, i bluszcz leśny i konwalia, i dzikie, puste jak piórka łabędzie, goździki z piasków, i cyprys i laur, i orchideja.

A kiedy na spuszczoną trumnę Maryjki poczęto sypać to wszystko kwiecie — nie stało miejsca na żółtą, cmentarną glinę...

Z kwiecia wprost — nie z gliny, wystrzeli w górę kwiat modry, o kielichu milczącym — zapatrzonym w niebo...

Z kwiecia popiołów... i z serca Maryjki.

Wieści ze świata.

Ostatnie czyny oblężnicze i upadek portu Artura.

Z Tokio dowiadujemy się z telegramów urzędowych, że Japończycy w ostatnich dniach zdobyli kilka fortów, a mianowicie. Fort Sungsuszan, koło Portu Artura, następnie fort „H“ i nowy fort Poulungszon, fort Wantaj, fort Kikwanszon i fort Ma.

W fortach tych spotkali Japończycy wszędzie silny opór, ale dzielność i męstwo tych małych wojowników przemogła siły nieprzyjacielskie, przyczem zdobyli wiele armat.

O wzięciu fortu Sungsuszan, tak opisują.

W sobotę o godzinie 10 rano, została wysadzona w powietrze przednia część fortu. O godzinie 12 wykonano atak i zajęto fort. Część rosyjskich żołnierzy uciekła na wzgórza, część została przy okopie rozsypana. Japończycy odkoli i zabrali do niewoli dwu rosyjskich oficerów i 60 ludzi. Opowiadają oni, że jeszcze 150 rosyjskich żołnierzy znajduje się pod gruzami. Ponieważ wszystkie ważniejsze forty znajdują się już w rękach japońskich, przeto jenerał Stoessel, dowódca załogi rosyjskiej, napisał list do jenerała Nogi, dowódcy wojsk japońskich, że wszelki opór jest obecnie bezużyteczny, widzi się zmuszonym oddać Port Artura.

Wyżsi oficerowie i jenerałowie odbydwóch stron wojujących mieli omówić warunki kapitulacyi, poczem Japończycy mieli wkroczyć do Portu Artura.

Poprzedniej nocy, Rosyanie kilka ostatnich fortów opróżnili, a rano kilka okrętów znajdujących się w przystani, wysadzili w powietrze, żeby Japończycy z nich nie korzystali.

I w drugi dzień Nowego Roku, radosna nowina lotem błyskawicy rozeszła się po świecie, i napełniła wielką uciechą serce każdego Polaka, że Port Artura zdobyty.

Oby Pan Bóg pobłogosławił i dalszem usiłowaniom tym szlachetnym małym wojownikom, żeby Moskali precz z Mandżuryi wypędzili, i upokorzyli przez to ambicyę nienasyconego wroga naszego.

Cesarz japoński przysłał telegram do jenerała Nogi, żeby obszedł się z całą załogą Portu Artura z wszelkimi honorami.

W Petersburgu, wiadomość o upadku Portu Artura, zrobiła przygnębiające wrażenie, szczególnie na tych, którzy jeszcze przed paru dniami utrzymywali, że Port ten nigdy nie będzie zdobytym.

W Tokio ogromna radość panuje, tłumy ludności z muzykami przeciągają po ulicach miasta.

Walka Japończyków z Moskalami w Paryżu.

Pisma zagraniczne ilustrowane robią zdjęcia w ten sposób, że ubierają ludzi w mundury walczących wojsk, każą im przybierać pozy, jakby się bili z sobą, i wtenczas ich fotografują.

Jedno z pism paryskich chciało w ten sposób mieć rycinę z bitwy pod Liaojanem. Wyszukano z wielką trudnością kilku Japończyków i Chińczyków (gdyż z powodu śniadej cery Europejczycy nie mogli ich zastąpić), przywdziali na nich japońskie mundury i postawiono ich naprzeciw przebranych Moskali. Skoro jednak Japończycy zobaczyli mundury moskiewskie, zapominając o tem, że to są ludzie przebrani, z wielkiego patryotyzmu rzucili się na przeciwników z całą zaciętością i z tego wywiązała się prawdziwa bitwa. Dopiero policya położyła kres zbyt rozbudzonemu uczuciu patryotyzmu i aresztowała napastników. Sprawa oparła się aż o sędziego, który naturalnie uwolnił zaraz walecznych synów dalekiego Wschodu.

Smutne wesele.

We wsi Strzegomiu odbywało się wesele Dyla. Ledwo wszyscy powrócili z kościoła, jeden parobczak ze żartów wyciągnął panu młodemu paczkę tytoniu z kieszeni. Pan młody obraził się i z tego wywiązała się sprzeczka. Parobczak, chcąc uniknąć dalszej zwady, wybiegł z chaty. Pan młody za nim. Dogonił go w polu i żgnął nożem. Chłopak, raniony śmiertelnie, upadł i w parę minut zakończył życie, a pana młodego związano i prawie wprost od ołtarza poszedł na parę lat do kryminału.

Wiadomości gospodarskie.

Rozkład pracy gospodarczej na styczeń. W styczniu niema ważniejszych prac około gospodarstwa. Można się zająć przędzeniem lnu i konopi, darciem pierza z zabitych w jesieni gęsi. Należy już zacząć karmić wieprze na szynki, wieprze nie powinny być starsze jak roczne, ze starszych są szynki niedobre; karmienie takie trwa zwykle 4 tygodnie. W styczniu należy lodownie zaopatrzyć w lód, nie opuszczając się na luty, który często bywa dżdżysty i łagodny. Kto nie ma lodowni może lód umieścić w głęboko kopanych dołach wyłożonych i nakrytych grubo słomą, doły takie muszą być koniecznie od północnej strony. Przy wyrobie masła jest lód w lecie prawdziwem dobrodziejstwem. W piwnicy przeglądać wszelkie ogrodowizny i oczyszczać je, a mianowicie przeznaczone na wysadki. Trzeba zawczasu pomyśleć o nasionach, które potrzebne zakupić, lub też z własnych nasienników otrzymane oczyścić, jeżeliby jeszcze nie były oczyszczone. Wypróbować siłę starszych nasion za pomocę układania w glinianem naczyniu namoczonych na bibule i ustawieniu ich w ciepłej kuchni. Nasiona należy utrzymywać w ciągłej wilgoci. W razie wielkich śniegów, trzeba otrząsać śnieg z drzew owocowych, aby zapobiedz obłamywaniu gałęzi. Trzeba niszczyć gniazda gąsienic, oprzędzone w suchych liściach, zbierać je po śniegu i palić. Zbierać po gałązkach pierściurki, kutner złotawy i szary, są to jakby włosem obrosłe plamki, znajdujące się na korze i pod gałązkami (pnie drzew smarować mlekiem wapiennem. Jeżeli kto ma w ogrodzie grunt jałowy, wyniszczony, niech teraz nawiezie świeżem gnojem. W tym miesiący posypać grzędy ogrodowe popiołem, sadzami, ziemią kompostową. Kopać doły do wiosennego sadzenia drzewek, bo ziemia im lepiej wymarznie, tem lepsza.

Przysłowia na styczeń: Na widok Trzech Króli, każdy w kożuch się tuli. Ale jak Trzej Królowie łaskawi ciepłem obdarzą, to sobie gospodarze o wiosence gwarzą. — Święta Agnieszka łaskawa, puszcza skowronka z rękawa. — Na świętego Karola wyjrzy z pod śniegu rola.

Własności, które kogut i kura przeznaczone do chowu mieć powinny. By doprowadzić i utrzymać jak najlepszy zaród drobiu, to trzeba do chowu wybierać tylko najładniejsze okazy. Kury jak największe lub średniej wielkości, nigdy zaś małe, głowę powinny mieć dosyć grubą, szyję krótką, grzebień na głowie leżący, koloru zdrowo czerwonego i taką szybę uchową, nogi sine. Tylko drób kochiński, jeżeli jest czystej rasy, ma grzebień stojący, głowę z krótkim grubym dzióbem i ciemno czerwoną szybą uchową, kury takie powinny mieć kuper pełny, wydatny i dobrze odsta-

jący. Tak kury jak i koguty powinno się wybierać z najwcześniejszych tak zwanych marcówek a w danym razie do połowy maja, później wylęgłych nie warto zostawiać na chowanie. Do chowu wybierać jaja od kur wielkich, celujących pilnem niesieniem jaj, nigdy młodszych jak rocznych, ale też nie starszych nad 4 lata. Kogut i kury jemu przeznaczone nie powinny być rodzeństwem i powinny być osobno trzymane; z tych ale trzeba jeszcze wybrać tylko od tych kur, które rzeczywiście odznaczają się ciężkością, wielkością, kształtną budową ciała i wyż wymienionymi przymiotami. Jaja powinny być świeże, nigdy starsze nad trzy tygodnie i takie które po wodzie nie pływają i od dobrego koguta zapłodnione zostały; kwoczka powinna być wielka, bo im większa, tem więcej jaj nakryje i lepiej je nakryje. Tak popostępując, to już w trzeciej generacyi można mieć kury, które będą posiadały wszelkie własności, jakie stanowią doskonałość. A wtenczas starać się trzeba aby je dobrze utrzymać, tak aby się nie wyrodziły. Uważać należy na to, aby się kury z innymi kogutami z różnych niedobranych ras nie łączyły i aby były dobrze utrzymane, ale nie tuczone. Kogut do zapłodnienia powinien już przynajmniej jeden rok liczyć i może być z korzyścią przez trzy lata trzymany, co prawda, to najlepiej jest co roku koguta zmieniać. Na każde 9 kur potrzebny jest 1 kogut, powinien on na pierwszy rzut oka, okazywać czerstwość, siłę i dziarskość. Żaden ptak nie jest tak skłonnym do wielożeństwa jak kogut, żaden też nie jest tak zazdrosnym jak kogut, dlatego też koguty toczą z sobą nieraz zacięte walki a które niekiedy kończą się nawet śmiercią słabszego. Chcąc temu zapobiedz, trzeba te kogutki, które później mają być przydzielone kurom w jednym kurniku i na jednem podwórku, trzymać już od dzieciństwa w ciasnem kojcu razem, ale tak, aby się dzióbami dosięgnąć nie mogły, przez co się do siebie przyzwyczają i potem łatwiej w zgodzie żyją. Kogutki takie powinny być w jednem wieku. Oznaki dobrego kogta są: głowa niewielka, dziób krótki, grzebień stojący zdrowoczerwonego koloru i takie kulce; oko wesołe, wzrost średni, piersi szerokie, pióra gładkie i lśniące, ogon długi łukowaty, nogi silne z ostremi pazórami (tylko koguty kochinchińskie mają ogon krótki, a koguty rasy rosyjskiej są zupełnie bez ogona). Dobry kogut jest prawdziwym skarbem dla gospodarstwa trudniącego się chowem drobiu, a dla swojego stadka jest on dobrym i odważnym stróżem i dobrym małżonkiem, broni swą liczną rodzinę przed napadem drapieżnych ptaków, często z narażeniem własnego życia, oznajmia on swej rodzinie zbliżające się niebezpieczeństwo, przez właściwy a tylko drobiu zrozumiały głos, przestrzega ich.

Na niesienie jaj u kur, kogut nie wielki wpływ wywiera, wiadomą przecież rzeczą jest, że i takie kury, które nigdy z kogutem nie chodziły, jaja niosą. Jaja zniesione bez koguta nie są przydatne do rozpłodu, ale za to lepiej i dłużej przechować się dają. Że u kury nadeszła pora niesienia się, można poznać po tem, że grzebień i kule nabierają mocno-czerwonego koloru. Jeżeli ktoś na swem podwórku trzyma więcej niż jedną rasę kur, powinien o tem pamiętać, aby one wszystkie razem nie chodziły, bo się tak pokrzyżują, że nie będzie sam wiedział co ma, a co może być też i bardzo niekorzystnem. Najlepiej jest aby każdy kogut ze swoimi kurami mógł być w osobnem ogrodzeniu. Jeżeli ale miejsce w takiem ogrodzeniu jest zbyt szczupłe, to drób zniechęcony tem więzieniem traci humor, opuszcza głowy, a w końcu nawet i apetyt traci. W takim razie lepiej jest, jeżeli się jeden dzień wypuści jedno stado, a drugie trzyma się w kurniku, a w drugi dzień te znowu zamknąć a tamte wypuścić na obszerny dziedziniec, a w ten sposób chociaż co drugi dzień wszystkie użyją ruchu do woli. Takie utrzymywanie kur powinno trwać od połowy lutego do połowy czerwca.

ROZMAITOŚCI.

Dajże Wam Boże w tym Roku Nowym,
Byście w dostatku żyli godowym.
Niech się Wam szczęści w domu i w roli,
Niechaj Was nigdy głowa nie boli.
Niech Wasze córki zdrowo, radośnie,
Hodują kwiaty we wczesnej wiośnie,
Żeby w świąteczny dzionek poranny,
Wiły z nich wieńce dla świętej Panny.

Niechaj synowie uczą się pilnie,
Ojczyznę kochać jak trzeba silnie.
Pomoc nieść ojcu, opiekę matce.
Jak z ludźmi zgodnie żyć w każdej chatce.
A gdy Ojczyznę bronić wypadnie,
Niech jak Japończyk odważnie padnie,
Bo każdy, komu Ojczyzna droga,
Z całym zapałem pójdzie na wroga.

Wy, co pisemko nasze czytacie,
I wiecie jaką korzyść zeń macie,
Zachęćcie innych, by go trzymali,
Sobie naukę, nam pomoc dali,
Byśmy go więcej rozpowszechnili,
I z Wami ściślej się połączyli
Bratnią miłością. Tem zakończamy,
Życzenia nasze z serca składamy.

Redakcya.

Przy tym Nowym Roku życzymy Wam drodzy Czytelnicy i Czytelniczki zdrowia i wszelkiego dobra dostatek, a tym, którzy nam swe życzenia przysłali i którzy się starają o rozpowszechnienie *Przodownicy*, serdecznie dziękujemy.

Rozmyślania nad rokiem 1904.

Ubiegły rok należał do najsmutniejszych i najokropniejszych w szeregu lat ostatnich nowego XX. stulecia. Rozpoczął się pod groźną wróżbą nieporozumień międzynarodowych, które wkrótce w otwartą, krwawą wojnę się zamieniły. Zaborcze dążenia caratu rosyjskiego, który stara się za wszelką cenę jak najszersze kręgi swemu panowaniu i w Europie i w Azyi zatoczyć — musiały wreszcie natrafić na opór narodu, który nie chciał bezkarnie dozwolić, aby interesy rasy żółtej mongolskiej, w jej naturalnych dzierżawach azyatyckich ścieśniane i coraz bardziej ograniczane były. Więc jako przedstawicielka tych żółtych praw i potrzeb wystąpiła przeciw wszystko na okół pochłaniającej Rosyi, mała, ale doskonale przygotowana i bohaterska Japonia i w początkach lutego r. 1904 pierwsze strzały japońskie do floty rosyjskiej wymierzone dały początek tej zaciętej walce, która przez 11 miesięcy trwając, wcale bliską nie jest jeszcze końca.

Wojna ta pochłonęła już ogromne zapasy w ludziach i pieniądzach — podkopała siłę i potęgę Rosyi — jej znaczenie osłabiła — a klęski, jakie Rosyanie ciągle na dalekim Wschodzie ponoszą, najlepszym są dowodem, że system rządowy państwa tego jest zupełnie bez wartości. Narody, niegdyś samoistne, a wcielone do Rosyi, jak Polacy, Litwini, Rusini, Finlandczycy, Kirgizi, Czerkiesi i t. p, a nawet sami Rosyanie, t. j. lud rosyjski (nie urzędnicy rządowi), nie czują najmniejszego popędu do prowadzenia tej walki, która nie dla dobra narodu, nie dla państwa nawet, ale jedynie wiedzie się dla polityki cara i rządu jego — tego cara i tego rządu, który wbrew interesom i pragnieniom ludów swoich trwa w nieubłaganym despotyzmie, a samowolą i bezprawiem tylko włada. Nic też dziwnego, że skutki takiego rządzenia aż nadto są dziś straszne. Niewola i nędza z jednej strony — a wszelkiego rodzaju nadużycia z drugiej. Zdemoralizowany stan urzędniczy w Rosyi kradnie dobro publiczne, kradnie środki wojenne, kradnie pieniądze dla biednych żołnierzy i rannych przeznaczone, a nikt nie umie, czy nie chce temu zaradzić. Wojsko jedynie pod przymusem idzie na tę wojnę, w której tysiące i setki tysięcy ginie, marznie choruje, lub ranami się okrywa strasznemi. Rodziny opuszczone, warsztaty i fabryki bez rąk do pracy, ziemia odłogiem leżąca. Głód, nędza, rozpacz i cierpienie! Więc przekleństwo miota ten lud biedny na cara, na jego dwór, na jego rząd i na jego politykę — lub zgromadza się i manifestuje po miastach, krzycząc „precz z caratem!“ — „niech żyje wolność!“ Inni, inteligencya wiejska i miejska, obmyślą legalne sposoby, jakby skłonić rząd do ustępstw, do nadania narodowi konstytucyi, a nihiliści i socyaliści groźbą tego samego się domagają. Lecz czas upływa, krew się obficie leje, łzy płyną, głód skręca wnętrzności milionów, bezbrzeżna rozpacz chwyta mózgi tysięcy, a w Rosyi u góry, u rządu, nic się nie zmienia na lepsze.

Owszem, możnaby rzec, że coraz jest gorzej — i straszniej — a już najgorzej i najstraszniej dla nas Polaków, którzy ucisk srogiego despotyzmu odczuwamy najbardziej ze wszystkich. Religia, język, prawa narodowe, człowiecze nawet, na każdym kroku deptane są przez brutalną siłę carskich siepaczy.

A i pod berłem pruskiem nie lepiej nam w roku ubiegłym było. I tam znęcał się rząd i hakata pruska nad nami — nawet w sejmie bezprawia nad ludnością polską wykonywając, tj. ustanawiając coraz to nowe, coraz ostrzejsze antipolskie prawa. Więc nie tylko, że nam mowę ojczystą gwałtem zabierają, ale i ziemię naszą własną, polską ziemię z pod naszych nóg usuwają. Chcą nas albo w Niemców, w Prusaków zamienić, albo zupełnie wygubić...

Lecz Bóg dodawał nam sił przez cały rok ubiegły i broniliśmy się od zagłady dzielnie — owszem mężnieliśmy na duchu, miłością Ojczyzny potężni.

Tutaj w Austryi, co prawda, wolność zastrzeżoną ustawami mamy, uczymy się po polsku, krzepimy nadzieję lepszej doli i dość swobodnie jako Polacy żyjemy, ale za to znów trapi nas bieda ekonomiczna, powodzie, pożary, posuchy, brak handlu, brak rzemiosł i przemysłu, ogromnie wygórowane podatki, wreszcie — co najgorsze — waśni i niezgoda z Rusinami. Więc zły był dla świata i zły dla nas był ten rok ubiegły. Z nowym rokiem weźmy się zgodnie i w miłości bratniej do dzieła, ku odrodzeniu wewnętrznemu i materyalnemu prowadzącego, i miejmy nadzieję, że przy wytrwałości i silnej woli naszej Bóg nam w tem dopomoże — i zbliżymy się do celu tak gorąco upragnionego — zmartwychwstania Ojczyzny naszej....

Kalendarz Kółek rolniczych. Zarząd główny Towarzystwa Kółek rolniczych wydaje kalendarz na rok 1905, który, jeżeli brać się będzie 10 egzemplarzy razem, po zniżonej cenie wypadnie tylko po 50 hal. Po wydaniu kosztować będzie 80 hal.

Kalendarz zawierać będzie oprócz zwykłej treści, różne artykuły, tyczące się gospodarstwa wiejskiego, przyozdobione odpowiednimi obrazkami, i rozkład prac gospodarskich na każdy miesiąc.

Prócz tego będzie opisana „Obrona Częstochowy“ i „Trzy rozbiory Polski“ z odpowiednim obrazkiem.

Zamawiając kalendarze trzeba zadatkować po 10 hal. na każdy egzemplarz. Zamówienia przyjmują Kółka rolnicze w większych miastach

Z powodu mobilizacyi. Radom. W noc wigilijną około godziny 1-szej, po Pasterce, ruszył tłum ludności, złożony przeważnie z robotników, przez główne ulice miasta, niosąc czerwony sztandar i śpiewając. Patrole wojskowe zastąpiły im drogę, ale przyjęto ich strzałami. Komendant pułku piechoty został zabity, jeden żandarm raniony. Z manifestantów także jeden zabity.

Pod mostami kolejowymi kalisko warszawskiej linii podłożono dynamit, ażeby rezerwiści nie mogli odjeżdżać, ale to w kilku godzinach naprawiono.

W Łodzi. W noc wigilijną również kilkuset robotników chodząc po ulicach z czerwoną chorągwią śpiewali pieśni rewolucyjne, krzycząc „precz z caratem“, „precz z wojną“, „niech żyje naród wolny, niepodległy“. Rzucono przytem bombę pod kościół św. Krzyża, który jest przerobiony na cerkiew prawosławną, i uszkodzili go trochę.

Zawiercie. W niedzielę świąteczną odbyła się tutaj wielka demonstracya socyalistyczna Plan ułożony był starannie i dokładnie przeprowadzony. Kilku ludzi zamknęło w mieszkaniu naczelnika straży ziemskiej i ustawiło się na czatach przed domem. Po nabożeństwie w kościele tłum robotników z ogromnej przędzalni wyruszył przez ulicę osady, niosąc na czele dwie czerwone chorągiewki. Kilku policyantów próbowało stawić pochodowi opór, ale odtrącono ich na bok. Udało się im tylko wyrwać chorągiewki. Tłum podążył krzycząc i hałasując. Nareszcie udało się naczelnikowi straży ziemskiej wydobyć z więzienia własnego domu, stanął on na czele policyi i wreszcie uspokoił zbuntowanych, którzy już sami do domów rozchodzić się zaczęli. Wieczorem nadeszło wojsko z Częstochowy, przyjechał gubernator z Piotrkowa. Śledztwo prowadzone jest bardzo energicznie i wiele osób już aresztowano.

Częstochowa. W dzień Bożego Narodzenia straszny huk od strony klasztoru Jasnogórskiego zaalarmował miasto, napełniając mieszkańców trwogą o ukochaną świątynię i kaplicę Ze wszystkich stron miasta ludzie zbiegli się tłumnie, zapełniając ulice, ale wkrótce rzecz się wyjaśniła. Jakiś nieznany sprawca rzucił bombę pod pomnik Aleksandra II., który jest wzniesiony na zboczu Jasnej Góry. Bomba nie uszkodziła samego pomnika, ale zniszczyła tylko schody z jednej strony, wyrwała stopnie z posad i potrzaskała kamienie fundamentów.

Żołnierz, stojący na warcie przy pomniku, przysięga, że nikogo nie widział. Drogo to zapewnie przypłaci, bo według przepisów, wydanych dla warty, pilnujący odpowiada osobiście za całość pomnika, przez czas stania na posterunku. W pół godziny po zamachu, na miejsce zbiegły się całe zastępy policyi i wojska, które rozpędziły publiczność i ustawiły się naokoło.

Z Lublina. We wtorek 22 grudnia ogłoszono u nas mobilizacyę, do której władze przygotowywały się bardzo energicznie. Sprowadzono dwie roty kozaków, a część policyi powsadzano na konie. Adresy wszystkich zapasowych policya zebrała zawczasu i natychmiast po otrzymaniu depeszy mobilizacyjnej, roznosiła po domach w nocy.

Mobilizacya wbrew oczekiwaniu jest tylko częściowa. Biorą jedynie saperów, felczerów i pisarzy, których tu jednak jest niewiele. Widocznie boją się rozruchów, które po wszystkich miastach dają się im dobrze we znaki, a Lublin, jako miasto bardzo patryotyczne, dobrze zanotowanem jest u Rosyan jeszcze z 1863 roku. Wzburzenie wśród ludności jest bardzo wielkie i odezwa, którą niewidoma ręka po całym kraju rozrzuciła, wzywając rezerwistów do niestawiania się dobrowolnego, przyjęta została z powszechną sympatyą Gdyby mobilizacya była powszechną, byłyby z pewnością zaburzenia, które władze przeczuwały. Zapasowych biorą w nocy i natychmiast wywożą za miasto pod Konopnice do jakichś starych koszar. 300 żołdaków moskiewskich rozpuszczono po mieście, którzy zaglądają do każdej sieni, do każdego okna. Do Lublina sprowadzono rezerwistów z powiatów lubelskiego, puławskiego i lubartowskiego. Po Lublinie tułają się żony z dziećmi rezerwistów, prosząc przechodniów czasem na klęczkach o jałmużnę, bo umierają z głodu.

Z pod Portu Artura. Zdobycie fortu zwanego „Pagórek 203 m.“ pewien rosyjski major, Mirenow, który był tam obecny, tak opisuje:

„Walka zaczęła się 28 listopada i trwała bez przerwy do 5 grudnia. Piasczyste, prostopadłe ściany pagórka pokryte były miejscami śniegiem. Japończycy musieli drapać się po tych ścianach, wskutek czego nie mogli strzelać, a sami byli wystawieni na morderczy ogień, pod jakim żaden nieprzyjaciel dotychczas nigdy nie walczył. Japończycy padali całemi kompaniami, ale miejsce ich natychmiast zastępowali inni. Stoki były zasłane trupami i rannymi, a śnieg był zaczerwieniony od krwi. Ostatecznie Rosyanie musieli się cofnąć, pozostawiając dalszą robotę sąsiednim fortom. Gdy japoński chorąży wydrapał się na szczyt pagórka i chciał ustawić chorągiew, rzucił się na niego olbrzymi rosyjski podoficer z dzikim okrzykiem, rozdarł rękami i zębami chorągiew na strzępy. Podoficer ten padł przeszyty kulami. Nasz ogień armatni zmiótł Japończyków z pagórka, który my znowu obsadziliśmy. Nastąpił drugi i trzeci szturm bezskuteczny, podczas których przyszło do walki na bagnety. Nikt nie żądał i nie wołał pardonu. Podczas szturmu zdarzył się wypadek, który mi nigdy nie

wyjdzie z pamięci. Chorąży japoński trzymając wysoko chorągiew nad głową, wydrapał się na szczyt pagórka i w tej chwili padł trupem. Drugi Japończyk pochwycił za chorągiew i padł także, po nim nastąpił trzeci, czwarty, tak zginęło ich ośmiu, aż gdy dziewiąty pochwycił chorągiew, zawołał jeden z oficerów rosyjskich: „Nie strzelajcie do chorążego, ta chorągiew musi powiewać na szczycie". W czasie trzeciego szturmu posługiwali się Japończycy ze skutkiem następującym środkiem. Zgromadzili wielkie zapasy drzewa, węgla i słomy, które podpalili. Wiatr pędził dym na stanowiska rosyjskie i to zmusiło ich do opuszczenia pozycyi. Zwycięstwo to kosztowało Japończyków kilka tysięcy ludzi, podczas gdy Rosyanie stracili tylko 2000. Pagórek cały pokryty był trupami i rannymi. Rowy forteczne zamieniły się w potoki płynące krwią".

Ten opis oficera rosyjskiego wskazuje na niezrównane bohaterstwo Japończyków, którzy w najcięższych warunkach nie dbają o utrzymanie życia i bez względu na straty dążą do celu.

Do Czytelników „Przodownicy"!

„Koło Pań" w Krakowie, należące do Towarzystwa „O własnych siłach", które popiera przemysł krajowy, na wiosnę w r. 1905 zamierza urządzić wystawę przemysłu ludowego.

Wzywam Was przeto, kochani Czytelnicy i Czytelniczki, ktokolwiek z Was, lub z Waszych znajomych, czy krewnych, umie wykonywać jakieś rękodzieło, czy to wystrugiwanie z drzewa jakichś figurek lub zabawek, czy to toczenie, wyplatanie z korzenia lub pręci ładnych koszyczków, wyplatanie słomianych kapeluszy itp. A kobiety umieją także ładnie wyszywać, haftować i różne inne roboty wyrabiać, niechaj przez zimę, mając dosyć wolnego czasu, przygotują co na wystawę. Ale robótka każda powinna być starannie i czysto wykonana, bo wystawę taką zwiedza i tysiące osób. — Wystawą taką chcemy pokazać światu, co u nas lud wiejski wyrabia, a może i nie jedno będzie dobre do zbytu i kupcy mogą od Was zamawiać, ażeby w swoich sklepach sprzedawać.

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

Jak i jakich nawozów sztucznych użyć pod zasiewy jare. Pod zasiewy jare trzeba używać nawozów sztucznych szybko działających, bo rośliny jare prędko rosną i prędko dojrzewają; rola na wiosnę wysycha prędko, a wolno działający nawóz nie zdążyłby wywrzeć skutku. Nawozy szybko działające są: saletra i superfosfat. Saletra dostarczy roślinom azotu a superfosfat kwasu fosforowego, oba te nawozy są bardzo użyteczne pod zboża jare i okopowizny. Saletra jest najskuteczniejszym nawozem azotowem, trzeba jej tylko umieć użyć, działa ona bardzo szybko i pędzi rośliny w górę, jeżeli ale grunt jest lekki a przytem wyjałowiony i nie zawiera w sobie potasu i kwasu fosforowego, wtedy zboże wybuja w słomę ale ziarna nie będzie. Na takiej ziemi trzeba koniecznie oprócz saletry dać superfosfat i kainit. Na grunta zaś zwięzłe, glinkowate kainitu dodawać nie potrzeba, gdyż glina mieści w sobie potas.

Z wszystkich zbóż najlepiej owies udaje się na saletrze. Owies zazwyczaj sieją u nas na ziemi wyzyskanej już przez inne rośliny, a więc zasilony saletrą sowicie się opłaca, ma on bowiem liczne korzenie a które przez dodanie saletry jeszcze bardziej się rozrastają i wyszukują sobie pokarmy, z których bez tego nie mogłyby korzystać. Wiele saletry pod owies dawać, tego dokładnie obliczyć nie można, zależy to bowiem od rodzaju gruntu, można jednak dać pod owies 1 do 2 ctn. saletry na mórg.

Pod jęczmień należy brać saletry tylko połowę, przy sprzyjającej bowiem pogodzie mógłby łatwo wybujać i położyć się, co oddziałałoby tak na ziarno jak i na słomę. Jęczmień sieje się zazwyczaj na ziemi lepszej nie tak wyjałowionej, jeżeliby ale ziemia była licha, to można jęczmień w parę tygodni po zasiewie w każdym razie przed kłosowaniem zasilić saletrą. Jeżeli oziminy zeszły nędznie i rzadko, to można je poprawić saletrą, a ożywi je ona i dopomoże im do rozkrzewienia; w tym wypadku nie trzeba jej jednak więcej jak 50 kg. na mórg.

Oziminę należy dwa razy zasilić saletrą, raz zaraz na wiosnę gdy ozima rozwijać się zaczyna i swą zimową barwę szaro-zieloną zmienia na jasno-zieloną, drugi raz po paru tygodniach, zawsze jednak przed kłosowaniem. Na owies i jęczmień można rozsiewać saletrę dwukrotnie, raz gdy rośliny dostaną 3 go listka, a drugi raz na krótko przed kłosowaniem. Później już saletry rozsiewać nie można, gdyż rośliny ciągleby się odmładzały i z tego powodu nierównoby dojrzewały. Rośliny groszkowe czerpią azot z powietrza a więc saletry pod nie nie potrzeba.

Ziemniaki najlepiej sadzić na nawozie zwierzęcym, lubią one ziemię pulchną i ciepłą, a taka właśnie będzie jeżeli ją zawczasu dobrym obornikiem nawieziemy. Najwięcej możnaby powiedzieć wymagają saletry buraki cukrowe. Buraki należy zasilać trzy razy biorąc każdy raz 15 do 25 kg. saletry. Pierwszy raz gdy powschodzą, drugi raz w 5 tygodni po tem, a trzeci raz w połowie czerwca. Pod buraki pastewne

można trochę więcej brać saletry. Już wyżej było powiedziane, że saletra działa szybko na rozwój roślin, ale to tylko na liście i słomę, może zas sprawić, że zboże wcale namłotne nie będzie, jeżeli równocześnie nie dodamy nawozów fosforowych, które to sprawiają obfitsze zawiązywanie ziarn i prędsze dojrzewanie roślin. I tak np. jęczmień, jeżeli ma dać dużo ziarna i słomy poddostatkiem, to trzeba go nawieźć więcej kwasem fosforowym aniżeli saletrą. Najwięcej używanemi nawozami są: syperfosfat i żużle Thomasa. Superfosfat mieści w sobie kwas fosforowy w postaci łatwo rozpuszczającej się w wodzie, działa więc prędzej niż inne nawozy fosforowe i dlatego jest najodpowiedniejszy pod jarzyny. Rozsiać trzeba go przy uprawie i przyorać na parę cali, aby się mógł w wilgotnej ziemi rozpuścić, a powtóre, że im lepiej się z ziemią zmięsza, tem pewniej działa.

Pod jęczmień siany po okopowych gnojonych, wystarczy 100 kg. na mórg. Pod owies również więcej dawać nie potrzeba. Pod rośliny groszkowe, po których zwykle sieje się ozima, najlepiej użyć żużli Thomasa. Kwas fosforowy w nich zawarty rozpuszcza się wolno w ziemi, tak że część jeszcze do drugiego roku pozostaje, można więc być pewnym, że to czego nie zużyją rośliny groszkowe, pójdzie na pożytek następnego płodu. Prócz tego żużle Thomasa zawierają w sobie prawie połowę wapna, które wybornie oddziaływa na rośliny groszkowe. Co do ilości to zwykle bierze się 150 kg. na mórg. W ostatnich czasach zalecają pod rośliny groszkowe używać żużli Thomasa i superfosfatu. Żużli daje się 100 do 200 kg. i wcześnie się przyorywuje, superfosfatu 50 do 75 kg. na mórg prętowy i wysiewa przy zasiewie roślin.

Z roślin okopowych najlepiej wywdzięcza się za superfosfat burak cukrowy. Superfosfat łącznie z saletrą dopomaga do szybkiego rozrostu buraka, a im wcześniej buraki odrosną, tem prędzej można je przerywać, wskutek tego korzeń wzmocni się i mniej będzie narażony na uszkodzenie od rozmaitych szkodników. Pod buraki używa się 150 kg. na mórg superfosfatu.

Na ziemiach gliniastych kainit jako nawóz potasowy byłby zbyteczny, bo glina mieści w sobie dosyć potażu. Kainit jest właściwy na grunta lżejsze i piaszczyste. Owies obejdzie się zupełnie bez kainitu, jęczmień go więcej potrzebuje jako też i rośliny groszkowe, wystarczy jednak na mórg 150—200 kg. Jeżeli ale chcemy kainit używać pod jarzyny, to musimy go rozsiać i przyorać w jesieni. Gdzie są grunta sapiaste i zimne, tam należałoby użyć wapna dla odkraszenia i ocieplenia roli. Wapno jako nawóz gryzący potrzebuje czasu do zobojętnienia, zaraz też po wapnowaniu żadnych roślin siać nie można. Najlepsza pora do wapnowania roli jest latem po żniwach albo w jesieni.

W jaki sposób ulepszyć łąkę mokrą torfiastą niemającą odpływu. W najgłębszym miejscu łąki trzeba wykopać kanał możebnie głęboki i szeroki, w któremby się jak największa ilość wody pomieścić mogła. Stosownie do rowu i do ilości wody stojącej należy poprowadzić rowy w równych odległościach, między niemi powstałe pasy łąki przekopać w poprzek rowami 30—35 ctm. głębokimi i tak szerokimi w odstępach co 8—10 mtr. Ziemię zaś, jaka się z tych rowów wydobyło, rozrzucić w środku między dwoma rowami, dodając i ziemię z poprzednich rowów. W ten sposób powstaną na łące dość wielkie groble wolne od wody stojącej. Groble te muszą być utrzymywane w wielkiem porządku i co roku czyszczone rowy, ziemia wydobyta z rowów starannie rozrzucona na groble. W ten tylko sposób można ulepszyć łąki bagnisto-torfiaste, a z czasem można z nich mieć nawet dobre łąki przez odpowiednie zasilenie nawozami sztucznemi z dodaniem marglu i wapna.

OD ADMINISTRACYI.

O Kalendarze Wojnara:

Kraków, Szewska L. 3

prosimy zgłaszać się wprost do niego — jak również do Zarządu głównego „Kółek rolniczych“ we Lwowie, o kalendarze „Kółek rolniczych“.

Jest jeszcze do nabycia po 2 K. — dziesięć Roczników *Przodownicy*.

Upraszamy usilnie o rychłe przesyłanie prenumeraty i zamówień na *Przodownicę*.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni M. Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

WŁADYSŁAW REYMONT.

CHŁOPI.

POWIEŚĆ. — (W skróceniu.)

(Ciąg dalszy.)

Dzień się dopalał jaskrawo i zwolna przygasał.

— Ale w Lipcach huczało, jakby na jarmarku.

— Jak tylko przedzwonili na nieszpory, muzyka wywaliła się do wójta na drogę.

Za muzyką szli obaj dziewosłęby i drużbowie; sześciu ich było.

Walili środkiem drogi, kupą całą, ramię przy ramieniu, aż ziemia dudniła pod nogami, a tak radośni, weselni i przystrojeni pięknie, że ino w słońcu grały pasiate portki, czerwone spencerki, pęki wstęg u kapeluszów, i rozpuszczone na wiatr, kiej skrzydła, kapoty białe.

Krzykali ostro, podśpiewywali wesoło, przytupywali siarczyście i szli tak szumno, jakoby się młody bór zerwał i z wichurą leciał...

Muzyka grała polskiego, bo zaś ciągnęli od domu do domu zapraszać weselników; gdzie im wynosili gorzałki, gdzie zapraszali do wnętrza, gdzie zaś śpiewaniem odpowiedzieli, a wszędy wychodzili przystrojeni ludzie, przystawali do nich i szli dalej społem.

Hukali społem i z mocą taką, aż się po wsi rozlegało.

Doprowadzili gości do weselnego domu, przegrali im na godne wejście i zawrócili do pana młodego.

Rzęsisto zagrali na ganku, a Boryna w ten mig wyszedł, drzwi na rozścież wywarł, witał się, a do środka zapraszał, ale wójt z Szymonem ujęli go pod boki i już prosto do Jagny powiedli, bo czas było do kościoła.

Szedł ostro i aż dziw tak młodo wyglądał: wystrzyżony, do czysta wygolony, przystrojony weselnie, urodny był, jak mało który.

Godnie go wprowadzili do Dominikowej; naród się rozstąpił, a oni go wiedli do izby szumno, z graniem i przyśpiewkami.

Ale Jagusi nie było: przystrajały ją jeszcze kobiety w komorze, mocno zawartej i pilnie strzeżonej, bo parobcy drzwi pchali i przekomarzali się z druchnami, że ino pisk, śmiechy i babie wrzaski odpowiadały.

Dopiero w jakie dwa pacierze otwarli drzwi komory, i organiścina z młynarzową wywiedły Jaguś na izbę, a druchny otoczyły ją wiankiem, a tak strojne i urodne wszystkie, że kwiaty to były nie kwiaty, a ona między niemi najśmiglejsza i kieby ta róża najśmiglejsza stojała w pośrodku, a cała w białościach, w aksamitach, w piórach, we wstęgach, w srebrze, w złocie, że się widziała niby ten obraz, co go naszają na procesyach: aż przycichło znagła, tak poniemieli i dziwowali się ludzie!

Boryna wystąpił, ujął ją za rękę i przyklęknęli, a matka obrazem ich przeżegnała i jęła błogosławić i wodą święconą kropić, aż Jaguś z płaczem padła do nóg macierzy, a potem i drugich podejmowała, przepraszała i żegnała się ze wszystkiemi.

Brały ją kobiety w ramiona, obejmowały i podawały sobie, aż się popłakali społem, a Józia najrzewliwiej zawodziła, bo się jej matula nieboszczka przypomniała.

Wysypali się przed dom, ustawili w porządku należytym i ruszyli pieszo, bo do kościoła było ze staje.

Muzyka szła przodem i rżnęła ze wszystkich sił.

A potem Jagnę wiedli drużbowie, szła bujno, uśmiechnięta przez łzy, co jej jeszcze u rzęs wisiały.

A za nią druchny prowadziły Macieja.

A za niemi dopiero szła Dominikowa ze swatami, kowalowie, Józia, młynarzowie, organiścina i co przedniejsi.

Na ostatek zaś, całą drogą, waliła wieś cała.

W kościele już Jambroży zapalał świece na ołtarzu.

Ogarnęli się ino w kruchcie, uporządkowali w pary i ruszyli przed ołtarz, bo i ksiądz już z zakrystyi wychodził.

Prędko się odbył ślub, bo ksiądz się do chorego śpieszył.

A gdy wychodzili z kościoła, organista jął na organach wycinać mazury a obertasy i kujawiaki takie, aż same nogi drygały.

Wracali już bez nijakiego porządku, całą drogą, gdzie komu było do upodoby, a rozgłośnie

Dominikowa rychlej pobiegła, a gdy nadciągnęli, już ona państwa młodych na progu witała obrazem i tym świętym chlebem i solą, a potem nuż się ze wszystkiemi znowu witać i do izby zapraszać!

Muzyka urżnęła w sieniach, więc co który

próg przestąpił, chwytał wpół pierwszą z brzega kobietę i puszczał się posuwistym krokiem »chodzonego«.

Pochodzili z dobry pacierz, nim skończyli.

Muzyka teraz zaczęła przegrywać pierwszy taniec, dla młodej, jako to we zwyczaju z dawien dawna było.

Naród zbił się gęstwą pod ścianami i zaległ wszystkie kąty, a parobcy uczynili wielkie koło, w którem zaczęła tańcować. Krew w niej zagrała, aż się jej modre oczy lśniły i białe zęby połyskiwały w zarumienionej twarzy; tańcowała niezmęczenie, coraz zmieniając tanecznikow, bo choć raz wokoło, a z każdym przetańcować musiała.

A parobcy z uciechy pięściami walili w stoły i pokrzykiwali siarczyście.

Dopiero naostatek wybrała młodego. Szykował się na to Boryna, bo skoczył kieby ryś do niej, ujął w pół i wichrem zakręcił w miejscu, a muzykantom rzucił:

— Z mazurska chłopcy, a krzepko!

...Muzyka rżnęła siarczyście, zapamiętale, z mazowiecka...

Zbili się wszyscy we drzwiach, to po kątach, przycichli i ze zdumieniem pogladali, a on niezmordowanie hulał i coraz siarczyściej.

Jagusia, choć mocna była, ale rychło zmiękła i jęła mu przez ręce lecieć, dopiero wtedy przestał i odprowadził ją do komory.

Dominikowa, synowie, kowal, Jagustynka, uwijali się raźno z pełnemi butelkami i kieliszkami w garściach, a do każdego z osobna przepijali. Józia i kumy roznosiły na przetakach chleb pokrajany i placki.

A potem starsze kobiety zaśpiewały chórem:

A dokoła drużbeczkowie, dokoła,
Zapraszajcie dobrych ludzi do stoła.

A na to, rumor czyniąc ławkami, odkrzykli drużbowie:

A dyć my już poprosili, już siedzą,
Dajcie ino co dobrego, to zjedzą!

I zwolna zaczęli za stoły iść a usadzać się na ławach.

Juści, że na pierwszem miejscu państwo młodzi, a w podle nich ze stron obu co najpierwsi, po uważaniu, po majątku, po starszeństwie, aż do druchen i dzieci, a ledwie się pomieścili, choć stoły ustawili wzdłuż trzech ścian.

Tylko drużbowie nie siedli, by posługi czynić, i muzykanci.

Gwar przycichł, organista stojący odmawiał w głos modlitwę, jeno kowal powtarzał za nim, bo pono na łacinie się rozumiał, a potem przepijali po tym kieliszeczku na zdrowie i dobry smak.

Kucharki wraz z drużbami wnosić poczęły dymiące, ogromne donice z jadłem.

Muzyka zaś zasiadła pod kominem i przygrywała z cicha piosneczki różne, bych się smaczniej jadło.

Pojadali też przystojnie, wolno, w milczeniu prawie, bo mało kto rzucił jakie słowo, że ino mlaskanie a skrzybot łyżek zapełniały izbę, a gdy sobie już niceo podjedli i głód pierwszy zasycili, kowal znowu flaszkę puścił w kolejkę, przyczem już i poczynali prawić z cicha i przemawiać do sie przez stoły.

Jagusia jedna, jakby nic nie jadła, próżno ją Boryna niewolił, wpół brał i jak to dziecko prosił, cóż kiedy nawet mięsa przełknąć nie mogła, utrudzona była wielce i rozgrzana, tyle, że to piwo zimne popijała, a oczyma wodziła po izbie i coś niecoś nasłuchiwała Borynowych szeptów.

— Jaguś, kuntentna jesteś, co? Śliczności ty moja! Jaguś, nie bój się, dobrze ci u mnie będzie, jak i matuli nie było lepiej... panią se będziesz, Jaguś, panią... dziewkę ci przynajmę, byś się zbytnio nie utrudzała... obaczysz!... — pogadywał z cicha, a w oczy miłosiernie patrzył, na ludzi już nie bacząc, aż się w głos przekpiwali z niego.

— Jak ten kot do sperki się dobiera.

— A bo też spaśna kiej ta lepa!

— Stary kręci się i nogami przebiera, niczem ten kogut!

— Użyje se jucha stary, użyje! — wołał wójt.

— Jak ten pies na mrozie! — mruknął zgryźliwie stary Szymon.

Gruchnęli śmiechem, a młynarz aż się pokładał na stole i pięścią grzmocił z uciechy.

Mówić wszyscy zaczęli, śmiać się, trącać kieliszkami, a coraz wolniej pojadać, aby się do syta najeść; niejeden już i pasa popuszczał, przeciągał się, by więcej zmieścić.

Kucharki znowu z miskami nowemi szły.

— Wysadzili się, no, no! — dziwili się ludzie.

— Jakże, z tysiąc złotych kosztuje wesele.

— Opłaciło się niezgorzej, bo to nie zapisał sześciu morgów!

— Za tę dziecińską krzywdę se balują.

— Jagna siedzi jak ten mruk.

— Maciej za to ślepiami świeci kiej żbik!

— Kiej to próchno, moiściewy, kiej próchno.

— Będzie on jeszcze płakał.

ŚWIĘTA KINGA

Powieść historyczna z XIII-go wieku.

Napisała

Mieczysława Śleczkowska.

I.

Anioł opiekuńczy.

— Jolanto! Jolanto! chodź no, popatrz, jakiego przyprowadziłam ci gościa.

Słowa powyższe wymawiała księżna Kinga, żona Bolesława Wstydliwego, księcia sandomierskiego i krakowskiego.

Młodziutka, piękna księżna Kinga w obszernej komnacie zamku krakowskiego, trzymając za rękę ubogiego chłopczynę, mogącego liczyć lat pięć

— Jolanto! Jolanto! — powtórzyła wołanie księżna.

W tejże chwili wbiegła do komnaty urodziwa dzieczynka, licząca podobnie lat pięć, wyższa jednak od swego rówieśnika, któremu widocznie nędza nie pozwoliła wyróść, wyglądał bowiem blado i mizernie.

Jolanta, piękna i rumiana, przyodziana w kosztowne szaty, wbiegła żywo, lecz postąpiwszy kroków kilka, i ujrzawszy ubogiego chłopczynę, biednego i obdartego, zatrzymała się, wydęła dumnie wargi i powiedziała:

— Chłopiec ten nie jest gościem stósownym dla królewny.

Wyrzekłszy te słowa, odwróciła się z powagą iście królewską, chcąc wyjść z komnaty.

Księżna Kinga dostrzegłszy ten ruch Jolanty, zatrzymała ją następującymi wyrazami:

— Powiedz mi, dlaczego jesteś tak niegrzeczną wobec małego Stacha?

Jolanta spojrzała z podziwem na księżnę, zdawało się dziewczynce, że jej postępowanie nie potrzebuje wyjaśnienia, lecz gdy Kinga wzrok pytający utkwiła w młodszej siostrze, wtedy odpowiedziała:

— Na dworze ojca mego, króla węgierskiego, nie bawiłam się nigdy z brudnemi, obdartemi dziećmi.

Nim księżna Kinga zdołała odpowiedzieć siostrze, weszła do komnaty poważna niewiasta, niosąc kubek mleka i kromkę białego chleba. Księżna Kinga odebrawszy posiłek z rąk niewiasty, zachęciła onieśmielone chłopię do przyjęcia pokarmu.

— Usiądź tu na kobiercu — mówiła łagodnie księżna — i napij się mleka. Nim zjesz śniadanie, przyjdzie do ciebie Józek.

Chłopczyna ośmielony słowami swojej dobrodziejki, usiadł na kobiercu i wziął kubek z mlekiem do ręki.

— Dobre z ciebie, posłuszne dziecię — rzekła księżna, gładząc pomotane, płowe włosy dziecka.

Podczas, gdy malec zajadał ze smakiem śniadanie, zwróciła się księżna do swojej młodszej siostry Jolanty, która niedawno z Węgier przyjechała do Polski. Król węgierski Bela IV. i żona jego Marya, rodzice księżnej Kingi, posłali jej małą Jolantę, z obawy, aby księżna na dworze męża swego nie tęskniła za rodziną.

— Pomyśl Jolanto — mówiła księżna Kinga do siostry — czy wyglądałabyś tak czysto i pięknie, gdyby cię co dzień nie obmyto i nie uczesano? gdyby ci nie dawano nowych, gdy ci się stare suknie zniszczą?

Jolanta nic nie odpowiadała, tylko wzrok zdziwiony utkwiła w twarzy starszej siostry.

— Widzisz — mówiła Kinga dalej — gdyby nie starania drugich około ciebie, to wyglądałabyś wkrótce brudno i obdarto, jak Stach. Przyznaj zatem, czy to, że wyglądasz strojnie, jest twoją zasługą? Czy zaś łachmany i nędza są winą Stacha? Czy biedne dziecię zasłużyło na lekceważenie, jakie mu okazałaś?

Jolanta w milczeniu słuchała słów siostry, przenosząc wzrok z mówiącej na ubogiego chłopczynę. We wzroku dziewczynki nie było już ni śladu dumy; natomiast widniało poważne zamyślenie. Księżna Kinga mówiła dalej:

— Widzisz Jolanto, Stach jest sierotą. Utracił naraz ojca i matkę. Nie było nikogo, ktoby obmył i uczesał dziecko, nie miał też nikogo, ktoby mu dał nowe ubranie i posiłek, dlatego zgłodniały dzieciak wygląda obszarpano i brudno.

W oczach Jolanty zamigotało rozrzewnienie, zabłysnęły łzy.

— Niema ojca ani matki? — szeptała niemal z przerażeniem. Szczęśliwa Jolanta nie mogła nawet wyobrazić sobie, jak można żyć na świecie, nie mając ni ojca, ni matki.

Księżna Kinga mówiła dalej:

— Czy pamiętasz, Jolanto, kościół, który ci pokazywałam niedawno, gdyśmy były w mieście. Kościół Panny Maryi, którego budowę rozpoczął zacny biskup krakowski, Iwo Odrowąż?

— Przypominam sobie — odpowiedziała Jolanta — kościół ten nie jest jeszcze skończony, pracuje około jego budowy mnóstwo robotników.

— Ten, — ten odpowiedziała siostrze księżna Kinga — około budowy kościoła Panny Maryi pracował także ojciec Stacha; przed-

wczoraj spadł z wysokiego rusztowania i zabił się na miejscu. Matka Stacha od kilku miesięcy chora, nie mogła umrzeć spokojnie z obawy o los dziecka. Umierającej matce obiecałam zająć się jej synem. Nieszczęśliwa kobieta umarła właśnie przed chwilą i dlatego przyprowadziłam tutaj sierotę. Starszy brat jego Józek, zajmuje się teraz pogrzebem matki i ojca. Po pogrzebie obejmie służbę przy moim dworze. Teraz trzeba nam się zaopiekować małym Stachem.

Sierota, o którym mówiła księżna Kinga, zajadał spokojnie śniadanie, rozglądając się ciekawie po wspaniałej komnacie, której ściany i podłoga zakryte były kobiercami. Największy podziw budził w chłopcu ogromny ozdobny kominek, na którym wesoło płonęło drzewo, rozsiewając po komnacie ciepło i woń żywiczną.

Dzieciak nie nudził się wcale, pomimo, że nie rozumiał toczącej się koło niego rozmowy. Księżna Kinga bowiem rozmawiała ze swoją siostrzyczką w rodzinnej mowie, t. j. po węgiersku. Wprawdzie księżna, przebywająca już w Polsce rok drugi, umiała po polsku; jednak niedawno do Polski przybyłej Jolancie łatwiej było mówić po węgiersku. A może też księżna Kinga przez wzgląd na chłopca mówiła niezrozumiałym dla niego językiem, nie chcąc przypominać sierocie zmarłych rodziców.

Dzieciak, siedzący na kobiercu, bawił się tymczasem doskonale, bo oto przybył mu nowy towarzysz, duży pies, Bryś.

Znęcony zapachem śniadania, przybliżył się do chłopca, a obwąchawszy go, począł przymilać się do dziecka, machając wesoło puszystym ogonem.

Dzieciak ośmielony przychylnością psa, dzielił się z nim obfitem śniadaniem. Pies zjadłszy spory kawał chleba, położył się obok Stacha, który drobnemi chudemi rączkami gładził długie kudły Brysia.

Skąd księżna Kinga wiedziała o sierocie po murarzu? zapytacie. Księżna Kinga uważała sobie za najświętszy obowiązek, wiedzieć i opiekowaćsię sierotami, ubogimi i wszystkimi, pomocy potrzebującymi. Każdego też ranka, rychło świt, zrywała się z pościeli, a zaodziawszy się skromnym płaszczem, przywdziawszy kapturek na głowę, odwiedzała w towarzystwie swoich panien służebnych i pachołków niosących żywność i odzienie, najuboższe domki w mieście.

Księżna zjawiała się w ubogich izdebkach, obdarzała potrzebujących, opatrywała chorych i odchodziła żegnana błogosławieństwem tych, dla których była prawdziwym aniołem opiekuńczym, aniołem pocieszycielem.

Dziś rano była przy umierającej matce Stacha, sierotę zabrała na zamek.

Po chwili własnemi rękami wykąpała malca, ubrała go w czystą bieliznę i suknię, własnemi rękami rozczesała płowe włosy sieroty i poprowadziła go do pokoju Jolanty. Poczciwe słowa księżny Kingi trafiły snać do szlachetnego serca dziewczynki, zabawiała się bowiem już teraz w najlepsze z sierotą.

Po kilku dniach chłopczyk tak oswoił się ze swojem nowem otoczeniem, że nie tylko odpowiadał na pytania, ale je sam zadawał.

Księżna Kinga uczyła chłopca pacierza i opowiadała mu o Bogu. Mówiła mu, że Bóg jest naszym ojcem, od którego mamy wszystko.

— Nie wszystko — zaprzeczył Stach.

— Jakto nie wszystko? — zapytała zdziwiona księżna

— Koszulę przecież dała mi miłościwa księżna -- odpowiedział dzieciak, podnosząc na Kingę oczy.

— Prawda — rzekła z dobrocią księżna — ja ci dałam koszulę, a nie Pan Bóg, lecz gdyby Pan Bóg nie był obdarował ludzi rośliną, z której włókien robimy tkaniny, nie byłabym ci mogła dać koszuli. Gdyby dobry Bóg nie był stworzył zwierząt, nie mogłabym ci dać ni mleka, ni mięsa.

Chłopiec słuchał uważnie, po chwili podnosząc oczy na Kingę, zapytał:

— A czy Bóg dał mi Józka?

— Tak — brzmiała odpowiedź.

— A Brysia?

— Brysia także.

— I miłościwą księżnę? — pytał z powagą.

Skinieniem głowy odpowiedziała dziecku księżna, bo uśmiech igrający na jej ustach, nie pozwolił jej wyrzec słowa. Za to Jolanta śmiała się wesoło i szeptała do ucha siostrze, że u Stacha Bryś ma pierwszeństwo przed księżną.

Stach nie zmieszany śmiechem królewny, palcem wskazał siedzącego księcia Bolesława, a podnosząc oczy na księżnę, zapytał:

— I jego także?

Głośny, wesoły śmiech królewny Jolanty, przekonał chłopca, że popełnił jakąś niewłaściwość, to też spuściwszy oczy, stał zakłopotany. Poczuł jednak, że czyjaś ręka gładziła go po głowie i posłyszał słowa wymówione głosem dobrotliwym.

— Tak, tak i jego także dał ci Bóg.

Wtedy dopiero ośmielił się malec podnieść oczy i ujrzał przed sobą księcia Bolesława, uśmiechającego się dobrotliwie.

Mała Jolanta stała także obok, mówiąc poważnie:

— Nie można mówić Jego, lecz miłościwego księcia:

II.

Jasełka.

Stach nie czuł swego sieroctwa na dworze Bolesława Wstydliwego. Miał obok siebie zacnych opiekunów i poczciwego brata Józka, który po pogrzebie rodziców stanął do służby w książęcej izbie czeladniej. Rąbał drzewo na dziedzińcu, nosił wodę, zamiatał, słowem brał się do każdej roboty ochoczo. Chętnie używała go księżna Kinga jako posłańca, z różnemi poleceniami, bo zawsze sprawił się dobrze.

Teraz właśnie był potrzebniejszym jak kiedyindziej; księżna Kinga bowiem zajmowała się sama urządzeniem świątecznych Jasełek. Było tedy bieganiny dosyć za sprawunkami i różnorodnymi obstalunkami. Wszyscy na dworze krakowskim zajmowali się Jasełkami, a Jolanta i Stach z największą niecierpliwością czekali świąt Bożego narodzenia.

Nadeszły one niebawem.

W wigilią Bożego Narodzenia zaścielono stoły sianem, do którego ręce Świętej Pani, (tak powszechnie nazywano Kingę), powkładały podarunki dla wszystkich zasiadających przy książęcym stole, bez względu na to, czy stół ten stał w książęcej jadalni, czy też w czeladniej kuchni.

Stach w sianku znalazł dla siebie krzyżyk na sznureczku, a Jolanta nauczyła chłopca, że krzyżyk ten należy nosić na szyi, ukryty na piersiach. Znalazł także ciepły kożuszek i prześliczne buty. Radość chłopca nie miała granic; nie posiadał bowiem dotychczas ani kożuszka, ani butów. Oderwał się też od swoich darów dopiero wtedy, gdy zadzwoniono na mszę pasterską, na którą podążył razem z Józkiem i całym dworem. Chłopiec jednak z niejakiem roztargnieniem odmawiał dziś pacierze, a roztargnienie to sprawiała mu długa zasłona, za którą urządzono Jasełka. Nareszcie zasłona spadła, a oczom chłopca ukazały się — cuda! Ale, że cudom tym przypatrywały się tłumy ludzi, cisnące się na ławki, wieszające się na filarach, zatem poczciwy Józek podniósł malca na ręce, aby mógł dokładnie przypatrzeć się wszystkiemu.

Wzrok jego olśniony jasnością, nie mógł z początku dokładnie rozejrzeć się w cudownem widowisku. Nie wiedział, czy pierwej ma patrzeć na dzieciątko Jezus, złożone w żłóbku na sianie, czy na Pannę Najświętszą w złocistej koronie, czy na siwowłosego staruszka, którego imię dobrze zapamiętał, bo było ono takie same, jakie nosił jego brat starszy. A już oczów nie mógł oderwać od nieprzeliczonych chórów anielskich, wznoszących się nad stajenką wysoko, wysoko, aż pod niebios sklepienie, na którem jaśniała cudowna gwiazda.

Naraz w stajence zrobił się ruch ogromny: Pastuszkowie przyszli powitać Pana nad Pany; nuże pląsać, nuże śpiewać radosne pienia, nuże przygrywać na ligawkach i skrzypeczkach, nuże znosić podarki przeróżne.

Zaledwie zniknęli ze stajenki krzykliwi pastuszkowie, aliści poklękali przed żłóbkiem trzej królowie w bogatych szatach. Zjawienie się trzech króli, narobiło niemało popłochu między widzami, a to dlatego, że za królami przyprowadzono jakiegoś nieznanego nikomu potwora. Na widok olbrzymiego, potwornego, o dwóch garbach zwierza, zaniepokoiły się nie tylko zebrane w kościele tłumy, ale także wół i osiołek stojący dotąd spokojnie przy żłóbku.

Służba kościelna, dla uśmierzenia zamięszania, uspakajała zwierzęta i ludzi. Tłumaczono zebranym, że zwierz o dwóch garbach jest łagodnem stworzeniem, na którem jak na koniu, jeździli trzej królowie.

Zwierzę owo nazywa się w i e l b ł ą d e m.

»A skąd wzięła się ta poczwara w Krakowie?« pytano zewsząd.

»A toż dziwoląga tego przysłał miłościwemu Panu któryś z książąt ruskich?« brzmiała odpowiedź. Gdy wielbłąd razem z królami opuścił betlemską stajenkę, ukazał się widzom niespokojny król Heród, czyhający na życie nowo narodzonego Dzieciątka. Za Herodem przyszła koścista śmierć z kosą, która też od jednego zamachu ucięła ukoronowaną głowę niegodziwego Heroda.

Po uroczystościach kościelnych, oboje książęstwo przyjmowali gości w komnatach zamkowych. A byli to goście znamienici: Biskup krakowski, Prandota z Białaczowa, wojewoda sandomierski Pakosław herbu Radwan, wojewodowie krakowscy: Sulisław i Włodzimierz herbu Gryff. Prócz tych dostojników, było mnogo najdostojniejszego rycerstwa.

Goście zebrani teraz na pokojach zamkowych, przed chwilą należeli do przypatrują-

cych się jasełkom, o nich też była mowa w świetnem zgromadzeniu.

— Ależ miłościwa księżna zrobiła wszystkim niespodziankę, ukazując na jasełkach tę potworne bestyą, pochodzącą kędyś z dalekich krajów — mówił Wojewoda krakowski.

— A czy też waszmość panowie wiecie, skąd owa bestya pochodzi? — rzekł Bolesław Wstydliwy.

— A jakże wiedzieć nie mamy, — rzekł któryś z rycerzy. — Wszakże tłumaczono nam w kościele, że to któryś z książąt ruskich przysłał owego dziwoląga Miłości Waszej.

Zaśmiał się książe głośno, posłyszawszy owe odpowiedzi.

— Ależ przecież na Rusi nie rodzą się takie potwory. Do Rusi przyprowadzili wielbłąda owi Tatarzy, o których od lat kilkunastu krążą między nami nieustanne wieści, chociaż nikt z nas ich nie widział. Ze straszydłami temi mieli już do czynienia, sąsiedzi nasi, Rusini.

Na wspomnienie Tatarów dreszcz trwogi przeszedł po obecnych.

— Dzicz tatarska to ludożercy — rzekł ktoś z obecnych.

— Tak o nich opowiadają — odrzekł Wojewoda sandomierski — ale chociażby nawet wieść o tem, że jadają ludzi, prawdziwą była, to i bez tego są oni straszni przez swoję dzikość i krwiożerczość Ucierpieli od nich dosyć Rusini. Wszak ci to przed paru laty, sprawili taką rzeź na Rusi, że mały Wasylko, synek książęcy, utonął we krwi.

— Może to przesadne? — rzekła księżna Kinga ze zgrozą.

— Gdzie zaś — ozwało się naraz głosów kilka — jest to najprawdziwsza prawda, a jeżeli państwo chcecie mieć dokładne wiadomości o Tatarach, to pytajcie wielebnego ojca Jacka, on ich widział na własne oczy. A ot o wilku mowa, a wilk tu!

Ksiądz Jacek, Dominikanin wszedł istotnie w tej chwili do komnaty.

III.

Wieści o Tatarach.

Do męża, którego już wtedy za świętego uważano, zwróciło się całe towarzystwo, pytając o Tatarów.

Święty Jacek Odrowąż, bratanek niedawno zmarłego biskupa krakowskiego, Iwona Odrowąża, był założycielem zakonu Dominikańskiego w Krakowie. Nie poprzestał jednakże na szerzeniu i gruntowaniu nauki Chrystusa w kraju, lecz szedł na Ruś, aby tam nauczać i odwodzić od grzechu mieszkańców, którzy przez obcowanie z dziczą tatarską, popadli w grzechy. Owóż przebywając na Rusi, święty Jacek poznał Tatarów, był nawet w Kijowie, gdy ta dzicz pogańska wtargnęła do miasta, 6 grudnia 1240 roku, i cudownym niemal sposobem uszedł śmierci; podczas gdy Tatarzy, opanowawszy miasto, zniszczyli je rabunkiem i ogniem, mieszkańców zaś w pień wycięli.

Gdy księdza Jacka pytano zewsząd o Tatarów, mąż święty wyrzekł:

— O! byłoby lepiej, żebyśmy o nich nigdy nie posłyszeli! niestety jednak obawiam się, że chwila już niedaleka, kiedy ta plaga, sroższa od wszystkich plag egipskich, spadnie na kraj nasz, jako kara Boża zato, że dzieci rodzone szarpią ciało matki swojej.

Słowa wymówione przez świętego męża, zrobiły wielkie wrażenie na obecnych. Wszyscy zrozumieli jakie to były dzieci szarpiące matkę na sztuki. Dziećmi tymi byli to liczni rozrodzeni książęta krwi piastowskiej, żyjący w nieustannej waśni ze sobą, wiodący ze sobą krwawe boje, dzielący Polskę Bolesławów na małe dzielnice. Słowa księdza Jacka nie odnosiły się jednakże do 19-letniego księcia Bolesława Wstydliwego, który zaledwie wyszedł z pod opieki zacnego Henryka Brodatego.

Bolesław Wstydliwy, siedząc na swojej sandomierskiej i krakowskiej dzielnicy, małym kawałku Polski, znanym też dlatego Mało-Polską, nie myślał o wydzieraniu dzielnic licznie rozrodzonym Piastowiczom.

Młodziutki książę wiedział jednak, że osłabiona podziałem Polska, nie potrafi oprzeć się skutecznie grożącej nawale tatarskiej. Siedział też zadumany smutnie.

Spostrzegł to wojewoda krakowski, Włodzimierz, a chcąc natchnąć księcia dobrą myślą, rzekł:

— Ależ ta dzicz tatatarska, rzucająca trwogę na całą Europę, chyba nie będzie trudną do pokonania. Słyszałem, że to hultajstwo nie ma żadnego uzbrojenia, to też gdy spotka się z naszem rycerstwem opancerzonem, nie wytrzyma natarcia.

— Mówicie tak wojewodo, bo nie znacie tej niepokonanej siły, rzekł kiwając głową ksiądz Jacek. Pomyślcie jeno, mówił dalej, co znaczy garść naszego rycerstwa wobec potęgi tatarskiej. Tatarzy, pod wodzą Dżengis-hana, zawojowali liczne koczownicze plemiona azyatyckie i są panami na ogromnej przestrzeni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

— Nie jest on z tych co płaczą, do kija się prędzej weźmie.

— To samom mówiła wójtowy, jak o zmówinach powiedziała.

— Rękębym sobie dała uciąć, że niezadługo, niech ino muzyki zaczną w karczmie, to Jagna ganiać będzie za parobkami.

— Mateusz ino czeka tego.

— Hale, hale?

— Przeciech! Wawrzonowa słyszała co wygadywał w karczmie.

— Że go to nie prosili do muzyki?

— Stary chciał, ino Dominikowa się przeciwiła, wszyscy wiedzą co było, to jakże?...

— Przykłada każdy, a widział kto?

— To niby po próżnicy pogadują!

— A Bartek Kozieł wypatrywał ich na zwiesnę w boru...

— Kozieł jest złodziej i cygan, miał z Paczesiową sprawę o świnię i bez złość wygaduje.

— I inni mają oczy widzące, mają...

— I źle się to skończy, obaczycie... juści, mnie ta nic do tego, ale tak myślę, że się Antkowi krzywda stała i dzieciom, to i kara przyjść przyjdzie za to.

— Pewnie, Pan Jezus nie rychliwy, ale sprawiedliwy.

— O Antku tyż coś niecoś napomykali, że tu i owdzie widywali ich razem, jak się zmawiali...

— Przyciszyły głosy i rajcowały coraz złośliwiej i nicowały nieubłaganie całą rodzinę, nie darowując i starej.

— Muzyka przycichła, grajkowie jeść poszli na drugą stronę, bo wieczerza się skończyła.

Podali na ostatku, dla wybranych, krupnik, miodem i korzeniami zaprawiony, a reszcie szczodrze stawiali tęgą okowitkę i piwo.

Mało kto zważał co pije, bo już się ze łbów kurzyło niezgorzej, i kuntentność rozbierała.

Późno już było, bo pierwsze kury odzywały się po wsi.

A w izbie tymczasem czyniono porządek i szykowano do tańców.

I skoro muzykanci podjedli i nieco wypoczęli, jęli z cicha przygrywać, by się weselnicy pościągali do kupy.

Ale nie potrza ich było długo naganiać: hurmą się sypnęli do izby, bo skrzypki tak niewoliły do tańca, że już same nogi niesły; na darmo jednak: parobcy czuli się jeszcze przyciężko po wieczerzy, pokręcił się ździebko jeden i drugi, i wnet uciekali do sieni zakurzyć papierosa, abo i te ściany mocne podpierać.

Jagnę uprowadziły kobiety do komory, Boryna na przyźbie z Dominikową siedział, a co starsi zalegli ławy i kąty i poredzali, że ino na izbie dziewczyny ostały i prześmiewały się między sobą.

Z dobrą godzinę trwało to, gdy starszy drużba dał znak, by przycichli. Kobiety wyprowadzały z komory Jagusię, nakrytą białą płachtą, i usadziły ją w pośrodku na dzieży, pokrytej pierzyną, druchny porwały się niby to ją odbić, ale starsze i chłopi bronili, więc się zbiły naprzeciw i smutno, jakby z płakaniem w głosach, zaśpiewały:

> A już ci to, już!
> Po wianeczku tuż!
> Kornet wity, czepiec szyty
> To la ciebie przyzwoity,
> To na główkę włóż!...

Odsłonili ją wtedy.

Czepiec już miała na zwiniętych, grubych warkoczach, ale jeszcze się urodniejszą wydała w tem przybraniu, bo i roześmiana była, wesoła i jarzącemi oczyma wodziła po wszystkich.

Muzyka zagrała wolno, i cały naród zebrany, starzy i młodzi, dzieci nawet, zaśpiewali »Chmiela«, jednym, ogromnym głosem radości. A po prześpiewaniu, same ino gospodynie brały ją do tańca.

A gdy skończyli, odprawować poczęli obrządki różne, jak to jest zwyczajnie przy oczepinach.

Najpierwej Jagusia musiała wkupować się do gospodyń.

A potem jednym ciągiem odprawiali drugie ceremonie, aż parobcy uczynili długie powrósło z nieomłóconej pszenicy i opasali nim wielgachne koło, które druchny pilnie trzymały i strzegły, a Jagusia stojała w pośrodku: chciał z nią któren tańcować, podchodzić musiał, wyrywać przez moc i hulać w kole, nie bacząc, że go ta i prażyły drugiemi powrósłami po słabiźnie.

Zaś na dokończenie, młynarzowa i Wachnikowa poczęły zbierać na czepek. Pierwszy wójt rzucił złoty pieniądz na talerz, a za nim, kiej ten grad brzękliwy, posypały się srebrne ruble, i jako te listeczki na jesieni, papierki leciały.

Więcej niźli trzysta złotych zebrali.

Godziny biegły za godzinami i przepadały niepamiętliwie we wrzawie, w krzykach, w radości szumnej, w tanecznem zapamiętaniu, że ani się spostrzegli, jako się już przecierało na

wschodzie, i przedświtowe brzaski ściekały zwolna i rozbielały noc. Gwiazdy pobladły, księżyc zaszedł i wiatr wstawał od lasów i przeciągał, jakby rozdmuchując rzednące ciemności.

. . . .

Świt się już stawał coraz jaśniejszy, że światła bladły i izbę zalewał brudny, zmącony mrok, a jeszcze się zabawiali ze wszystkiego serca, a komu mało było poczęstunku, do karczmy po gorzałkę słał, kompanił się i na umor pił.

Kto odszedł, to odszedł; kto się zmęczył, odpoczywał, a któren się opił, na przyzbie spał, abo i w sieniach; drudzy zasie, barzej z nóg ścięci, to i pod płotami legali, i gdzie tam padło, a reszta tańcowała do upadłego...

Aż już co trzeźwiejsi zbili się w kupę przy drzwiach, do taktu bili w podłogę i jęli śpiewać:

Zbierajcie się, weselnicy, już nam czas!
Daleka droga,
Głęboka woda,
Ciemny las!

Zbierajcie się, weselnicy, już nam czas!
Znów się zabawimy,
Jutro powrócimy,
Na popas!

Ale nikt ich nie słuchał!

XII.

Już na samem świtaniu, Witek, umęczony zabawą i wyganiany przez Jagustynkę, pobiegł do chałupy.

W Borynowej izbie tliło się jeszcze światełko maleńkie, jako ten robaczek świętojański, aż Witek zajrzał przez okno; stary Roch siedział przy stole i z książki pośpiewywał pobożne pieśnie.

Chłopak cicho przesunął się do obory i jął macać skobla, gdy naraz z wrzaskiem odskoczył, bo pies jakiś rzucił mu się na piersi ze skowytem.

— Łapa! Łapa! Wróciłeś to piesku, wróciłeś, biedoto! — wykrzykiwał, rozeznawszy psa, i aż przysiadł na progu z radości. — Głodnyś chudziaku, co?

Znalazł za pazuchą zaoszczędzoną na weselu kiełbasę i wtykał mu do pyska, ale Łapa nie rwał się do jadła, jeno szczekał, rzucał mu się na piersi i skomlał z radości.

— Głodziły cię, biedoto, i wygnały we świat! — szeptał, otwierając drzwi do obory, i zaraz jak stał rzucił się na wyrko. — Już ja cię teraz bronił będę i starunek o tobie miał... — mruczał zakopując się w słomę, a pies legł w podle, warkał i polizywał go po twarzy.

Rychło obaj zasnęli.

A ze stajni obok położonej wołał Kuba słabym schorzałym głosem, wołał długo, ale Witek spał jak kamień, dopiero Łapa, poznawszy głos, jął zajadle szczekać i targać za kapotę, aż przecknął.

— Czego? — mamrotał przez sen.

— Wody! Tak mie rozbiera gorącość... wody!

Choć markotny był i śpik go morzył, zaniósł mu pełne wiadro i podstawił do picia.

— Takim chory, że ledwie zipię... co to warczy?

— A Łapa! Wróciło psisko od Antków!

— Łapa! — szepnął, macając w ciemności za psim łbem, a Łapa wyskakiwał, szczekał i darł się na wyrko.

— Witek, załóż koniom siana, bo dzwonią zębami o pusty żłób, a się poruszyć nie mogę. Tańcują jeszcze? — pytał po chwili, gdy chłopak stoczył ze stropu siano i zakładał je za drabiny.

— Cheba na połednie skończą, a tak się niektóre popiły, że na drodze leżą.

— Używają se gospodarze, używają — westchnął ciężko.

— Młynarze byli?

— Byli, ino rychlej poszli.

— Narodu dużo?

— Ktoby ta porachował?... aż się przelewało w chałupie.

— Przyjmowali suto?

— Kiej we dworze jakim. Mięso całemi michami roznosili, a co gorzałki wychlali, a co piwa, co miodu! Samych kiełbas były trzy niecki czubate.

— Przenosiny kiedy?

— A dzisiaj na odwieczerzy.

— Użyją se jeszcze, nacieszą się... Mój Jezu, myślałech, że jaką kosteczkę ogryzę i podjem se choć raz do sytu, a tu leż, zdychaj i nasłuchuj, jak się drugie zabawiają.

Witek poszedł spać.

— Żeby choć te oczy napaść... żeby...

Zamilkł znużony, żuł w sobie żałość, a jakieś ciche, nieśmiałe skargi, jako te ptaszki ustałe, tłukły mu się po piersiach i boleśnie piukały.

— Niech im ta pójdzie na zdrowie, niech choć oni żyją... — myślał, pogładzając psi łeb.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.